Voltaire, Nagroda cnoty
W-wa, [1767]

DZIKI AMERYKANIN

KOMEDYA.

DZIKI AMERYKANIN DO EUROPY z LELIUSZEM PRZYBYŁY

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH

W WARSZAWIE

w Drukarni Nadworney J. K. MCi

MDCCLXXVIII.

OSOBY.

LELIUSZ.	Synowie Pantalona.
MARYUSZ.	
PANTALON	Ociec, Kupiec Wenecki.
LEANDER	Brat Pantalona.
ARLEKIN	Dziki Amerykanin.
SBRYGANI	Sługa Leandra.
SKAPINO	Sługa Leliuſza.
TANDECIARZ.	
UKRZYWDZONY.	
ZOŁNIERZE.	

SCENA

W Genui.



AKT I.

SCENA I.

LELIUSZ. SKAPINO.

LELIUSZ.

Cożeś ſprawił? czyś wſzyſtko w drogę zgotował?

SKAPINO.

Zgoła wſzyſtko, łodź wygodną naiąłem, można będzie W. M. Panu iutro kiedy chcąc odiachać.

LELIUSZ.

Patrz, żebyśmy iutro ſkoro świt od brzegu odbić ſię mogli; każdy moment, ktory od

Oyca oddalony przepędzam, wiekiem mi ſię być zdaie. Puściłbym ſię w śrzod nayſroższych nawałności, gdybym wiedział, że mię prędzey na brzeg Oycowſki wyrzucą.

SKAPINO.

Porzuć W. M. Pan te nawałności, ieſt to poiazd cale nie wygodny, a mocno niebeſpieczny, ſamo doświadczenie, kiedyśmy w oſtatniey toni zoſtawali na brzegach Hiſzpańſkich, tę z głowy W. M. Pana rezolucyą wybić by powinno. Niewiem coby rzekł Arlekin na tak deſperackie przedſięwzięcie, wolno ſię go w tym poradzić.

LELIUSZ.

Prawda, wielki go w ten czas tchorz obleciał; i gdyby w takim razie było mieyſce śmiechowi, uczyniłbym był wielką uciechę ſobie z iego cholery, łaiania, oto, żem go na takie naraził niebeſpieczeńſtwo. Gdzie on ieſt dopiero?

SKAPINO.

Poiąć ſię nie może, w wielkim wſzyſtkiego, na co tylko ſpoyrzy, podziwieniu zoſtaie. Pękałbyś ſię W. M. Pan z niezwyczaynego zadumienia, i proſtoty iego.

LELIUSZ.

Wſzakci umyślnie dla uciechy moiey zakazałem go informować o zwyczaiach naſzych. Byſtrość dowcipu, ktora ſię wydawała w odpowiedziach iego, powodem mi była przywiezienia go do Europy. Chcę w

nim poznać proſtotę natury, Połycyi, naukom, i ſztukom naſzym przyrownaną; rozumiem, że ztąd będzie, i uciecha, i nieiakieś dla naſzych obyczaiow pouczenie.

SKAPINO.

Ani wątpić.

LELIUSZ.

Idź że dopiero, rzeczy w drogę roſtropnie każ układać, ia tym czaſem do Stryia poſpieſzę, a to w niemałym intereſſie.

SKAPINO.

W Jakim?

LELIUSZ.

Nieroſtropna ſługi ciekawość, chcieć o Pańſkich wiedieć intereſſach. I Panom nie należy zewſzyſtkim ſię przed ſługami zwierzać.

SKAPINO.

Dopytałem ſię.

SCENA II.

LELIUSZ SBRYGANI.

LELIUSZ.

Hey! bracie zkąd? i dokąd ſpieſzyſz?

SBRYGANI.

Idę z domu tam, gdzie mi ſtanąć potrzeba?

LELIUSZ,

Otoż odpowiedź ſług?

SBRYGANI.

Jakie pytanie, taka i odpowiedź.

LELIUSZ.

Czy niemożesz mi powiedzieć..

SBRYGANI.

Co? powiedzieć? i wiele mogę. Mowię naprzod W. M. Panu: że wino pod zieloną wiechą arcy dobre, że...

LELIUSZ.

Ale się ia ciebie o to nie pytam, day pokói tym żartom.

SBRYGANI.

Ja sam u Pana swoiego w koncie sypiam, a zartom mam dawać pokoie.

LELIUSZ.

Bieda z tym człowiekim... Radbym ia wiedział...

SBRYGANI.

Wiedz W. M. Pan, iż ieśli do domu nie powrocę wcześnie, tedy mię Pan pewnie kiiem wylata.. Kłaniam W. M. Panu.

LELIUSZ.

Proszę zatrzymay się trochę... Drwi ze mnie hultay, trzeba z nim inaczey (*Daie mu pieniądz*) na Bracie, i powiedz mi bez żartow o co się spytam.

SBRYGANI.

A, to co innego.... wiedzże W. M. Pan, że ia iestem chłopiec, idę na rynek posłany od Pana.

LELIUSZ.

Jakiż to twoy Pan.

SBRYGANI.

Jaki sługa, taki i Pan, zacny sługa, zacny

być muſi i Pan; i zowie ſię Le.. Le.. prawdziwie niewiem, zapomniałem, Le.. Le..

LELIUSZ.

Otoż pięknie, ſługa nie wie, iak ſię Pan iego zowie.

SBRYGANI.

Poczekay, przypomnę Le.. Le..

LELIUSZ.

Czy nie Leander?

SBRYGANI.

Może i Leander, niech tak będzie iak W. M. Pan mowiſz.

LELIUSZ.

Gdzież ten Pan twoy ſtoi?

SBRYGANI.

Niewiem czy on teraz ſtoi, czy ſiedzi, wiem że nie leży, bo niedawno wſtał.

LELIUSZ.

Nie o to ſię pytam, chcę wiedzieć, gdzie mieſzka?

SBRYGANI.

Gdzie mieſzka? ho, ho, mieſzka on w pałacu.

LELIUSZ,

Gdzież ten pałac?

SBRYGANI.

Gdzie pałac?.. na końcu ięzyka.

LELIUSZ.

Wiem ia o tym.

SBRYGANI.

Na coż ſię pytaſz, ieżeli wieſz.

LELIUSZ.

Drwiſz głową.. Ja mowię, wiem otym, że

ſię trzeba pytać. i dla tego ciebie proſzę, żebyś mi powiedział, kędy ieſt pałac Pana twego, podobno Leandra.,, nużę, powiedz mi, wziąłeś pieniądze.

SBRYGANI.

Ale prawda wziołem, otoż powiem ſzczyrze: będzieſz W. M. Pan ſzedł ulicą, z iedney, i drugiey ſtrony ſą kamienice, i pałace; potym W. M. Pan będzieſz ſzedł i w prawo, i w lewo, przez ſzeroką, i wąſką ulicę, po bruku, przez rynſztoki; aż przyidzież do Pałacu Pańſkiego, tam wſzedłſzy przez bramę, dziedziniec, ganek, i drzwi pierwſzego pokoiu, znaidzieſz ſamego Pana, i przy nim goście z wielkim noſem, i brodą, i... ah.. długo ſię bawię, kłaniam.,

LELIUSZ.

Zatrzymay ſię ieſzcze na moment, ieſzcze ſłowko.,

SBRYGANI.

Przepraſzam W. M Pana, bo ſię długo bawić nie mogę, chodzi mi o grzbiet. Kłaniam.

LELIUSZ.

Oto oſzuſt, proſzę z takim człowiekiem doiść ſprawy? ſługa podobno mego Stryia Leandra..., ale, coś mowił, że ieſt tam u Jego gość z dużym noſem, i brodą, prawdziwie, czy nie Ociec to moy tylko do brata ſwego przyiachał?.. z dużym noſem, i brodą... Tylkoż, czy ieden to moy Ociec na świecie, z dużym noſem, i brodą... a może i Ociec?

bieda, nie mam ſię kogo ſpytać, gdzie mieſzka Leander? ten mi ſzałaput dziwnych rzeczy na plotł, proſzę go zrozumieć?..

SCENA III.

LELIUSZ ARLEKIN.

ARLEKIN.

Ha. ha. ha; Jak ſię nie śmiać z ludzi kraiu tego? Ha.. ha.. ha.. ſtroią ſię w piękne ſuknie, i nie przyſtępnemi ſię ſtaią; wyciągaią ſzyię iak bociany; wożą ie w iakich ściś klatkach; ieść, i pić im podaią; zrana ich ubieraią, w wieczor rozbieraią, właśnie iak by bez rąk, i nog kalecy byli ha,. hą.. ha..

LELIUSZ.

W głębokich reflexyach zoſtaie, muſzę ſię z niego troche ucieſzyć... Jak ſię maſz Arlekinie?

ARLEKIN.

He,. czy i ty tu ? iak ſię maſz Kapitanie?

LELIUSZ.

Oczym myśliſz dopiero?

ARLEKIN.

Oczym myśliſz? myślę, że ten kray bardzo, aż nadto ieſt zły. Proſzę cię wyieżdzay ztąd czymprędzey.

LELIUSZ.

Czemuż to?

ARLEKIN.

Bo ia tu widźę ludzi iednych zuchwa-

łych,, ktorzy drugim rozkazuią, i ſobie ſłużyć każą. drudzy ſą po więkſzey części gniuſowie, ktorzy ſię boią, i bydlęce życie iak beſtye w pracach uſtawicznych prowadzą.

LELIUSZ.

Pochwaliſz to z czaſem, co dopiero zgłupſtwa, i niewiadomości ganiſz.

ARLEKIN.

Niewiem co potym będzie, teraz zaś zdaie mi ſię, iż u was nic, ani..trochę nie maſz rozumu.

LELIUSZ.

Oto hypokondryk, iak to u nas rozumu niemaſz? ſłuchay! pomni na to, że iuż nie z dzikimi i grubymi Amerykanami, ale z narodem obyczaynym i politycznym obcuieſz.

ARLEKIN.

Coż to ieſt narod obyczayny, i polityczny?

LELIUSZ.

Są to ludzie regułami Policyi i rożnych umieiętności miarkuiący ſię.

ARLEKIN.

Policyi i umieiętności regułami.... a coż to za narod? nie znam tego Jegomości.

LELIUSZ.

Nie narod to, ale niektore przepiſy w rozumie wyczerpnięte, ktore nas uczą, iak ſię mamy we wſzyſtkim ſprawować, poſtępować, i czynią nas mądrymi, poczciwemi.

ARLEKIN.

Alboż wy ſię głupiemi i hultaiami rodzicie?

LELIUSZ.

Zkądże to?

ARLEKIN.

O to ztąd: potrzebuiecie niektorych przepiſow policyi i umieiętności na to, abyście mądremi, i poczciwemi byli; więc z natury głupiemi, i niepoczciwymi być muſicie; wſzak ci to iaſno.

LELIUSZ.

Jako żywo, zle wnoſiſz. Rodziemy ſię z właſnemi niedoſtatkami, iako i wſzyſcy ludzie, i chyba ſam rozum wſparty dobrą edukacyą poprawić ie może.

ARLEKIN.

Alboż wy macie rozum?

LELIUSZ.

To mi pytanie, ktoż o tym wątpi?

ARLEKIN.

Powiedzże mi, proſzę, iak waſz rozum wygląda?

LELIUSZ.

Nie rozumiem pytania.

ARLEKIN.

Chcę wiedzieć, co ieſt ten rozum, ktory wy macie?

LELIUSZ.

Jeſt światło przyrodzone, przez ktore poznaiem złe i dobre, i uczy nas ſtrzedz ſię złego, a czynić dobrze.

ARLEKIN.

Pfu, co ulicha, wſzakci waſz rozum takiż ſam ieſt, iaki i naſz.

LELIUSZ.

Pewnie, bo u wſzyſtkich ludzi na świecie rozum ieſt iednaki.

ARLEKIN.

Jeśli rozum ieſt iednaki, u wſzyſtkich ludzi, to taki rozum u ciebie, iaki i umnie?

LELIUSZ.

Takiż ſam.

ARLEKIN.

Rozum i u ciebie i u mnie takiż ſam; czemuż ty ſiębie rozumnym i politycznym, a mnie głupim i proſtakiem nazywaſz?

LELIUSZ.

Ha. ha. ha..

ARLEKIN.

Rozum i u ciebie, i umnie ten ſam; więc ieśli ty ieſteś rozumny i polityczny; to i ia rozumny i polityczny, a ieżeli ia (iak ty mowiſz) ieſtem proſtak, i głupi... aha.. co nato?

LELIUSZ.

Ha,. ha.. ha..

AKLEKIN.

Nie śmiech to, ale prawda.

LELIUSZ.

Rzecz godna śmiechu, bo fałſz oczewiſty: ieſtem ia człowiekiem rozumnym i politycznym, bo mi dano doſkonałą edukacyą, ktorey że ty nie miałeś, ieſteś głupi i proſtak.

ARLEKIN.

Jeſtem rozumny, i polityczny, bo mi da-

no edukacyą.. ale na co wam ta potrzebna edukacya, kiedy wy macie rozum?

LELIUSZ.

Proſtak ieſteś, i dla tego nie przenikaſz potrzeby edukacyi. Wiedzże otym; że rozum czyni nas rożnymi od zwierząt i bydląt, ktore nie maią rozumu; edukacya zaś obyczaie w nas miarkuie, i uczy iak mamy przyſtoynie z ludzmi obcować, i każdemu ſię z braci naſzey przymilić, przypodobać. I ztądto ieſt, że ieśli co czyniemy, to uczynność naſzę i chęć komplementem politycznym iakim oświadczamy, co ſzacunek nieiakiś rzeczy przydaie.

ARLEKIN.

Coś to ieſt dziwnego ten waſz komplemęt! uczyń że mi iaki naprzykład, żebym go mogł poznać, co on ieſt?

LELIUSZ.

Dobrze, imaginuy ſobie, iż Ja cię na obiad do ſiebie wzywam.

ARLEKIN.

Zaraz będę imaginować.. no, iuż imaginuię...

LELIUSZ.

Cobym miał ci grubiańſko mowić: Arlekinie, ziedz zemną obiad; kłaniam ci ſię ſkłądnie, i tak mowię: moy grzeczny kawalerze, naymilſzy Arlekinie, życzyłbym ſobie tego ſzczęścia, mieć Ciebie dziś u ſiebie na obiędzie.

ARLEKIN.

Moy grzeczny kawalerze, naymilſzy Ar-

lekinie, życzyłbym ſobie tego ſzczęścia, mieć ciebie dziś u ſiebie na obiedzie... ah co co to za rzecz śmieſzna ten kąplement?.. aha ha.. ha..

LELIUSZ.

Utraktować cię w prawdzie iakby na twoię godność przynależało, nie potrafię.

ARLEKIN.

Fe, to nie dobrze. wyrzuć to proſzę, z kąplementu.

LELIUSZ.

Będę ſię iednak na potym ſtarał, żebym cię lepiey uczęſtował.

ARLEKIN.

Także i uczyń teraz, ale nie na potym.

LELIUSZ.

To com powiedział, dobrey części nie przeſzkodzi, bom ia to mowił ſzczegulnie dla oświadczenia tobie chęci moiey, ktora nic takiego, czym by ci ſię godnie przyſłużyć mogła, nie nayduie.

ARLEKIN.

Nie ieſtem ia wymyślnego ſmaku. z tym wſzyſtkim podoba mi ſię twoy kąplement, ponieważ mi w nim dobry obiad obiecuieſz, wolałbym iednak, prawdę mowiąc, żebyś mi był tož ſamo, że mię dobrze chceſz utraktować, po proſtu bez tych obrzeſkow opowiedział.

LELIUSZ.

Ale rzecz uczciwſza zaproſić z kąplementem.

ARLEKIN.

Prawda, uczciwſza, ale nie pożyteczniey-ſza, bo czy będzie kąplement, czy nie będzie, ieśli obiad dobry, to można podieść. I tożto cały pożytek z waſzey edukacyi, pięknie zaprośić na obiad?

LELIUSZ.

To naymnieyſzy.

ARLEKIN.

I ia go niewielkim być ſądzę.

LELIUSZ.

Dobra edukacya czyni nas ludzkiemi, i ſprawiedliwemi.

ARLEKIN.

To dobrze.

LELIUSZ.

Pociąga nas do zabieżenia cudzym niedoſtatkom.

ARLEKIN.

To wyśmienicie.

LELIUSZ.

Jedna nam ſławę, dobrą eſtymacyą.

ARLEKIN.

Coż to ieſt ſława?

LELIUSZ.

Jeſt to dobre rozumienie o drugim, z kąd to pochodzi, że takiego wſzyſcy wychwalaią mowiąc: to kawaler zacny, mądry, obyczayny.

ARLEKIN.

Już ta Pani ſława, widzę naylepſza, chciałbym i ia, żeby mnie wychwalono mowiąc: Arlekin piękny to kawaler, dziki Amerykanin.

LELIUSZ.

Edukacya pokazuie co ieſt chwalebnego, co nagannego w obyczaiach. Z nięy pochodzi doſkonały we wſzyſtkich rzeczach porządek: czego zechceſz, ba oczym tylko pomyśliſz, tego wſzyſtkiego u nas doſtanieſz, nawet do domu twego to wſzyſtko przynioſą.

ARLEKIN.

Co zaś? wam to wſzyſtko, czego wy chcecie do domu przynioſą?

LELIUSZ.

Tak ieſt:

ARLEKIN.

Nie dziwuię ſię dopiero, że tak dobrze we wſzyſtko obfituieſz? iuż pomału z tego, co mowiſz. dochodzę; że z ſiebie nie wiele warci ieſteście, ale edukacya was wielkiemi, i dobremi czyni, i znami Amerykanami rownie, iak uważam, ſzczęśliwemi. Jeśli to tak ieſt, dziękuieſz ci moi Leliuſzu (*obłapia za ſzyię*) żeś mię tu z ſobą przywiozł, wybacz proſtocie moiey. Ty ſam widziſz, że patrząc czaſem na niektore poſtępki waſze, wierzyć trudno, iżeście tak dobrzy, i poczciwi.

LELIUSZ.

To widziſz? wroć że ſię teraz do domu, więcey ci inſzego czaſu opowiem.

ARLEKIN.

Kray ten ieſt bardzo dziwny? ktoby u licha widział? iż ſię ludzie rozumni na świecie nayduią, ktorzy procz rozumu potrzebuią edukacyi, ażeby dobremi byli.

SCENA IV.

PANTALON LEANDER SBRYGANI ARLEKIN.

Tu Arlekin dziwuie ſię z boku przypatruiąc poſtaci Pantalona.

LEANDER.

Jak ſobie w tym kraiu podobaſz Braciſzeńku?

PANTALON.

Położenie, i weſołość iego wielce mnie kontentuie.

LEANDER.

Jeśli tak ieſt, wolno ſię w nim W. M. Panu iak naydłużey bawić; Dom moy niech na zawſze wygodom iego ſtoi otworem.

PANTALON.

Miłe mi bardzo to braterſkiey chęci W. M. Pana oświadczenie. Ztym wſzyſtkim czym prędzey do domu dla pilnych zabaw ſpieſzyć muſzę; abym tylkomoi intereſs z W. M. Panem zakończył.

LEANDER.

Intereſs ten iuż uſpokoioiony; tego, co i przedtym ieſtem ułożenia i com nie raz mowił, to i dopiero powtarzam; rzetelny ieſtem, ſłowa, i obietnicy dotrzymać muſzę.

PANTALON.

Czy Leliuſzowi koniecznie W. M. Pan ſwoie dziedzictwo zapiſuieſz? Ktorego iuż dawno morſkie fale pochłonely, iużem go dawno Ociec żałoſny opłakał.

LEANDER.

Niepotrzebna to impreſſya o zgubie iego.

PANTALON.

Coż kiedy wieść publiczna wſzędy tak głoſi.

LEANDER.

Wieściom tak łatwo wierzyć nie należy, częſtokroć bowiem omylaią.

PANTALON.

Prawda, ale ta, ile że powſzechnym wſparta mniemaniem, nie omyli; na coż innych dowodow ſzukać? chceſzli W. M. Pan, żeby trupa iego z odległych Ameryki Kraiow przed oczy W. M. Pana przywieziono?

LEANDER.

Nie tak widocznego, pewnieyſzego iednak oczekiwam dowodu.

ARLEKIN *na ſtronie.*

Ałeż nos?... coż to za nos? ha ha. ha..

LEANDER.

A noż Syn W. M. Pana Leliuſz wybrnowſzy z głębokości morſkiey po świecie ſię, dążąc do Oyczyzny, tuła. Co mu za pociecha będzie? gdy w tak nędznym od nieſzczęścia ſobie zadanym razie, u mnie potym ſię ziawiwſzy, przytulenia mieć nie będzie? Co powie, gdy ia onemu ſłowa danego nie dotrzymam, a Maryuſzowi dziedzictwo zapiſzę, ktore Leliuſzowi obiecałem.

PANTALON.

Wſzyſtkie reflexye W. M. Pana na ſamych funduią ſię koniekturach.

LEAN-

LEANDER.

Ale te koniektury do prawdy ſą podobne.

ARLEKIN *na ſtronie.*

Ah darmo iuż nie wytrzymam.

PANTALON.

Rozumu ſię w tey rzeczy bardziey, niż affektu poradzić należy.

ARLEKIN *ſzczutkę w nos dawſzy Pantalonowi.*

Ah ha. ha. co za śmieſzna poczwara?

PANTALON.

A toż co?

ARLEKIN.

Co za śmieſzna figura? nigdym ieſzcze takiey w oczy nie widział? ah. ha. ha.

PANTALON.

Co to za hultay?

ARLEKIN *do Leandra.*

Powiedz mi: iak ſię ten zwierz nazywa?

LEANDER.

Milcz hultaiu! ieſt to człowiek uczciwy, ktory cię ubić każe, ieśli tych żartow nie porzuciſz?

ARLEKIN.

Co zaś on człowiek? aha..ha. ha. co za śmieſzna poſtać? *Do Pantalona:* Powiedże no mi ty brodaty koziołku, iakiego rodzaiu ieſteś? bom ia ni człowieka, ni bydlęcia tobie podobnego nigdy nie widział.

PANTALON.

Albo mi uſtąp z oczu niecnoto! albo cię na mieyſcu ubiię.

ARLEKIN.

Czy nie licho nadało takich ludzi? o wſzyſtko ſię gniwaią. nazwałem cię kozłem brodatym, bo maſz brodę długą,ſiwiuſieńką, zaoſtrzoną na końcu.

PANTALON.

Ey, milcz hultaiu.

ARLEKIN.

Broda, iak broda, aleź iaki nos? iak potężny aha. ha.. ha..

PONTALON *rzucaiąc ſię na Arlekina.*

A pokiź ci cierpieć będę?

ARLEKIN.

Kiedy ſię uraźaſz o to, źe ia prawdę mowię, iź maſz nos potężny, otoź nie gnieway ſię, mowię, źe maſz noſek mały, maluſieńki noſeczek, iak ia.

PANTALON.

O! iuź darmo, nadto drwiſz głową.

SBRYGANI *wſtrzymuiąc Pantalona.*

Mci Panie nie czyń mu nic złego, wſzakci on to z proſtoty i głupſtwa uczynił.

ARLEKIN.

To mi człowiek dobry, znać źe lepiey od tych umie policyą, i doſkonalſzą miał edukacyą.

LEANDER.

Nieborak ma rozum pomieſzany, od rzeczy mowi.

ARLEKIN.

Fałſz, kłamieſz, ieſtem ia człowiek rozumny, nieukci wprawdzie, i oſieł, proſtak, dziki Amerykanin, edukacyi waſzey nie maiący, aleź poczciwy, rozumny, i zacny Ka-

waler. Ale iak to ucieſzny człowiek? prawdziwie śmiech ieſt na iego ſpoyrzeć.

LEANDER.

Coś w nim oſobliwſzego.. Słuchay bracie z kąd ieſteś?

ARLEKIN.

Ja? ſłuchay Bracie, ieſtem z wielkiego i gęſtego laſu, gdzie ſię ſami tacy kawalerowie rodzą iako i ia, ktorzy, choć żadney edukacyi nie maią, iednakże ſą naturalnie dobrzy, poczciwi, ah.. ha.. ha..

LEANDER.

Mnieyſzá o to; ale powiedz mi, iak tu przyiachałeś?

ARLEKIN.

Przyiachałem w korycie długim, długim, ſtrach iak długim, bo byli na nim: Ja, i zemną Kapitan, także inne narody, ktore nazywaią Fliſami, Zołnierzami i Officyerami.

LEANDER.

Nie zły porządek w wyliczeniu... co za proſtota? muſi to być prawda, co on mowi, ieſt ſnać, iako ſam powiedział z dzikich kraiow przybyły człowiek, nic zgoła o obyczniach tuteyſzych nie wiedzący.

ARLEKIN.

Już co nie wiem, to nie wiem! to tylko wiem, że ſię rodzicie głupiemi, i niepoczciwemi, ale was edukacya nieiakaś mądremi, i poczciwemi czyni. Dowiedziałem ſię tego od Kapitana mego. On dobrze zna tę edukacyą i rozumie, a ty, czy znaſz?

LEANDER.

Pewnie że znam.

ARLEKIN.

To pewnie ieſteś z tych liczby, ktorzy potrzeby przychodniom doſtarczaią, bo moi Kapitan mi mowił, że ludzie znaiący edukacyą, tak czynią z przepiſu waſzey policyi.

LEANDER.

Mow śmiele ieśli czego potrzebuieſz? uczynię.

ARLEKIN.

Potrzebuieſz?.. czego mam potrzebować? maiąc ieść, i pić, u mego Kapitana. Oto, ſchodzi mi tylko, iako obcemu na przyiacielu, z ktorymbym w niebytności Kapitana po gawędził ſobie.

LEANDER.

Wſzyſcy my przyiaźń naſzę tobie offiaruiem.

ARLEKIN.

Nic mi po was wſzyſtkich,... bo ze wſzyſtkiemi mowiąc, uſzu by mi, i języka nie ſtało, dość mi iednego.

LEANDER.

Maſzże mnie przyiaciela.

ARLEKIN.

Coż kiedy ia ciebie nie chcę.

LEANDER.

To tego ſobie obierz (*do Pantalona*)

ARLEKIN.

Ah. ha. ha. brodatego kozła? aha. ha. ha.. niechcę, niechcę nos ma potężny, iak indyk. Piękny to przyiaciel? aha. ha.. fe, nie chcę...

PANTALON.

Szalony to ieſt człowiek; głupiemu trzeba wybaczyć.

ARLEKIN.

Ot ia tego (*do Sbryganiego*) chcę.

LEANDER.

Czemu?

ARLEKIN.

Bo on muſiał mieć naylepſzą edukacyą, i naylepiey, iak ſobie uważam, zna policyą.

LEANDER.

Zkądże to?

ARLEKIN.

Gdyście ſię wy na mnie obadwa bez przyczyny oburzyli, on nie dopuścił nic mi złego uczynić... Powiedz że mi, czy chceſz być moim przyiacielem?

SBRYGANI.

Miałbym to ſobie za ſzczęście Mci Panie?

ARLEKIN.

Sameś taki, ia nie ieſtem Mci Panie, ale Arlekin nazywam ſię.

SBRYGANI.

Arlekin?. Jakie to śliczne imie?

ARLEKIN.

Aha. bo ia tak chciałem. A Twoie czy tak piękne? powiedz mi, iak ſię zowieſz?

SBRYGANI.

Jeſtem Sbrygani.

ARLEKIN.

Sbrygani?... w moim ięzyku kwiatek znaczy, co właśnie tobie ſłuży, bo moim zda-

niem tak ieſteś grzeczny, i piękny, iak młoda, a zieloniuſieńka pokrzywka.

LEANDER.

Patrz iak niepoſpolita reflexya.

PANTALON.

Słyſzałem, że kraiu tego ludzie zazwyczay przez podobieńſtwa mowią.

LEANDER.

Ja ſię proſtocie, i poczciwości iego wydziwić nie mogę.

ARLEKIN.

Czy ſłyſzyſz Sbrygani, moia pokrzywko, oto ten człowiek mowi, że ia ieſtem poczciwy, a ty czy tak o mnie trzymaſz?

SBRYGANI.

Nie inaczey.

ARLEKIN.

Toć moim przyiacielem koniecznie być muſiſz, bo poczciwym zawſze ſprzyiać należy, czy prawda?

SBRYGANI.

Prawda.

ARLEKIN.

No, idźmyſz moy miły przyiacielu.

SBRYGANI.

Hola, Panie Arlekinie, bardzo zbytnia konfidencya, nie tak to łacno u nas przyiacioł iednaią. na wielu ci ieſzcze rzeczach do zniewolenia moiey chęci ſchodzi.

ARLEKIN.

Albo co?... (*na ſtronie*) pewnie i tu iakikolwiek będzie wymyſł edukacyi i ich po-

licyi, ktorego ia nie umiem,. biedny ia ieftem z tą proftotą moią... fłuchay Sbrygani, ia fzcyrze fprzyiać umiem, ieśli zaś czego więcey nadto do przyiaźni potrzeba, mowże mi rzetelnie, a uczynię to.

SBRYGANI.

Trzeba dać dobre fłowo, ktoreby przyiaźń oświadczało, i chęć drugiego zniewalało.

ARLEKIN.

Wfzak przyiaźń na dobrym fercu, nie na fłowach zależy. Zabii mię fłow dobrych, ktorych ty żądafz, ani znam, ani umiem.

SBRYGANI.

Koniecznie tych fłow potrzeba, bo inaczey moiey przyiaźni nie doznafz.

ARLEKIN.

Czy nie kifzkifz to w głowie, iak mam do ciebie pięknemi fłowy przemowić, kiedy ich nie umiem. Naucz mię ich z lichem, to i powiem.

SBRYGANI.

Nie moia to rzecz tego Ciebie uczyć.

ARLEKIN.

Coż mam tedy czynić?

LEANDER.

Jużeż dopiero ofiadł na kofzu... Słuchay Arlekinie, dać komu dobre fłowo, albo mowić pięknie, ieft to chwalić tego, ktorego chcefz mieć za przyiaciela, chwalże teraz iego ofobę.

ARLEKIN.

Tfuy, do kata, czegom ſię ia głupi biedził? wſzakci i u nas takie dobre ſława przyiaciołom daią, poſłuchay mię tylo, iak pięknie mowić będę,: ſłuchaycie!.,

SBRYGANI.

Słuchamy.

ARLEKIN.

Twarzyczka twoia iak iaſny ogień w gwiazdach, oko twoie iedno iak ſłońce, a drugie iak mieſiąc, nos zaś iako gora, na ktorey wiele może koz chodzić, czoło iak łąki zielone, mocy twoiey nayſilnieyſzy byk nie wydoła, ſzybkość twoia, iak u zaiąca bez ogona. Alboż to nie pięknie?

SBRYGANI.

Czy oſzalał? poczwaraby to zemnie była, gdybym tak iak mowiſz wyglądał, porzuć te żarty.

ARLEKIN.

To ſię to tobie nie podoba?

SBRYGANI.

I bardzo nie.

ARLEKIN.

Coż czynić, ia więcey nie umiem; z rozumu mię z waſzemi wymyſłami wybiiecie. Czy wieſz że co Sbrygani, pozwolmi nie co czaſu do nauczenia ſię pięknych rzeczy, ktorych nie umiem, a tym czaſem bądź moim przyiacielem.

LEANDER.

Będzie tobie Arlekinie dopomagał kom-

panii Shrygani iako dobry przyiaciel,. czy widziſz ten dom?

ARLEKIN.

Widzę.

LEANDER.

Otoż tu z Sbryganim widywać ſię możeſz.

ARLEKIN.

Dobrze, idźmyż pogawędzim ſobie, bo cale nie mam ſię z kim zabawić, i od kogo ſię tey waſzey policyi nauczyć, bo moy Kapitan coś wſzytko biega. no, poydziem.

LEANDER.

Ale nie zaraz, potym chyba nadeydzieſz.

ARLEKIN.

A czemu nie teraz?

LEANDER.

Bo Sbrygani ma zabawy;

ARLEKIN.

Ale ia żadnych zabaw nie mam.

LEANDER.

Coż z tego, ale on ma, ty zaś być dyſkretnym powinieneś.

ARLEKIN.

Czy tego koniecznie potrzeba?

LEANDER.

Potrzeba;

ARLEKIN.

To i dobrze, przyidę potym... Sbrygani ha.. ha.

SBRYGANI.

Bądź zdrow Arlekinie.

SCENA V.

TADECIARZ. ARLEKIN.

TANDECIARZ.

Mci Panie.

ARLEKIN.

He...

TANDECIARZ.

Czy nie zechcesz czego odemnie. *Tandeciarz rozkłada towar.*

ARLEKIN.

Na coż ty mnie to ukazuiesz?

TANDECIARZ.

Na to, żebyś W. M. Pan obrał, co się będzie podobało.

ARLEKIN.

Alboż mi to oddasz? co się mi upodoba?

TANDECIARZ.

Z ochotą, ia sobie tego i życzę.

ARLEKIN.

Dopiero poznaię, że Kapitan prawdę mi mowił, i w słowku iednym nie skłamał... (*do Tandeciarza*) i tyż tak cały krai zbiegasz? szukaiąc ludzi, ktorym by się te rzeczy podobały.

TANDECIARZ.

Takto iest Mci Panie muszę. nic trudnego dla zysku.

ARLEKIN.

Co za poczciwi ludzie, i całe rzecz pię-

kna, tuteyſzych kraiow policya.

TANDECIARZ.

Noż Mci Panie, obacz W. M. Pan, i obierz, co ſię podoba.

ARLEKIN (*ogląda portrecik.*)

To coś dobrego? obaczę... a toż co?.., Człowiek?,. iakże maluſieńki?..

TANDECIARZ.

Albo nie piękny?...

ARLEKIN.

O! moyże ty malenieczki... ale iak on tu wlazł u kata?..

TANDECIARZ.

Zartuieſz W. M. Pan:

ARLEKIN.

Poiąć nie mogę, żeby ſię tak mali ludzie naydować mogli, unas tak małego ani widać.

TANDECIARZ.

Na co te żarty? nie baw mnię W. M. Pan...

ARLEKIN (*do portrecika*)

Powiedz mi, iak ſię zowieſz?., he... nic, nie mowi ; utaił ſię... choć mały, ale frant?.. ha.. ha.. ha.. nic ani oka nie mruży, ani śmieie ſię... A wiele lat ma ten człowieczek?

TANDECIARZ.

Naprzykrzony ieſteś żartami ſwemi, widziſz W. M. Pan, że to nie człowiek; ale wyobrażenie człowieka.

ARLEKIN.

To on nie żyie?..

TANDECIARZ.

Ani wątpić.

ARLEKIN.

Szkoda, że tak młody, i piękny, a nie żyie.

TANDECIARZ.

Dość tych żartow Mci Panie, obacz W. M. Pan co ſię podoba, albo mnie odpraw; bo czaſu nie mam.

ARLEKIN.

Coż? mnie ſię wſzyſtko podoba.

TANDECIARZ.

Bierże W. M. Pan wſzyſtko.

ARLEKIN.

To ty nic więcey mieć nie będzieſz?

TANDECIARZ.

I owſzem, Kupiec rad bardzo towaru pozbywa.

ARLEKIN.

Ha?.. to ſię ty pewnie kupiec nazywaſz.

TANDECIARZ.

Tak ieſt.

ARLEKIN.

Kątęt ieſtem, że wiem o nązwiſku tak poczciwego człowieka... no. dayże, ponieważ tak chceſz... To mi to, dobroć bez przykładu. Mam obligacyą Kapitanowi, że mię do tych poczciwych ludzi przywiozł;

TANDECIARZ.

Ale zaraz, ſtarguię ſię wprzody z W. M. Panem;. co mi W. M. Pan daſz za to wſzyſtko?.

ARLEKIN.

Ty mnie daiesz, bo masz; a ia ci nic nie dam, bo nic nie mam. I żałuię bardzo tego, bom iest z natury dobry człowiek, choć edukacyi waszey nie mam, i nic policyi nie znam.

TANDECIARZ.

Musisz mnie W. M. Pan koniecznie zapłacić 500 Złotych.

ARLEKIN.

Zabii mię kiedy choc mam ieden; nawet nie wiem, co to iest złoty?

TANDECIARZ.

Wroć że mi W. M. Pan towary?

ARLEKIN.

Ba... drwisz ze mnie.

TANDECIARZ.

Nie drwię, ale się swego dopominam... odday mi W. M. Pan, co iest mego, albo poydę na skargę.

ARLEKIN.

A do kogo?

TANDECIARZ.

Do Sędziego.

ARLEKIN.

Coż to za Jmość?

TANDECIARZ.

Jest to człowiek poczciwy, ktory postrzega sprawiedliwości, i każe czasem wieszać tych, ktorzy przeciw oney wykraczaią.. czy rozumiesz?

ARLEKIN.

To gdybyś ty bardzo wykroczył, toby cię powieſzono?

TANDECIARZ.

Pewnie.

ARLEKIN.

Poczciwieby, dobrze uczyniono... Jako widzę, ci ludzie, chyba poniewolnie dobremi ſię ſtaią.

TANDECIARZ.

Zaniechay W. M. Pan tych żartow, i mnie albo zapłać, albo wroć towar.

ARLEKIN.

Wierz mi, że nie znam, czego chceſz odemnie?... Day mi złote,.. Zapłać mi za towar.. Co to za mieſzanina? co za ſłowa?

TANDECIARZ.

I do nieſzczęścia! iuż ſię mi te żarty uprzykrzyły.

ARLEKIN.

Słuchay, czego ſię ty gniewaſz? wſzakeś mi ſam dobrowolnie z przyiaźni twoi towar offiarował? wziołem go, żebym ſię tobie przyſłużył, i fatygi dłużſzey w obieganiu wiela kraiow, uiął... a teraz niewiedzieć za co ſię rzucaſz?... Fe, to nie pięknie... Mowiłem żeś człowiek poczciwy, a teraz powiem, żeś nie poczciwy.

TANDECIARZ.

Dość że tych drwin! iuż widzę, że ieſteś wierutny hultay! ſłuchay! ieśli mi mego nie wrociſz, to cię!...

ARLEKIN.

I nie wrocę, i wprzod ia ciebie! (*biie..*)

TANDECIARZ.

Czy tak to płacisz? Gwałt!... Złodziey! złodziey!

ARLEKIN.

Krzycz iak chcesz! od tobie zapłać, złote!

TANDECIARZ.

Gwałt ratuycie!

ARLEKIN.

Muszę mu łeb odrzeć.

TANDECIARZ.

Ah ia nieszczęśliwy, zginołem!

SCENA VI.

ARLEKIN *Sam ieden.*

(*Peruka z głowy Tandeciarza uciekaiącego zdarta, zostaie na teatrum*)

Aha.. ha.. ha... Zapłacilem mu dobrze, będzie kontent. a toż co?... czy to bestya iaka z ogonem?... tylkosz niemasz nog, i gęby... a prawdziwie to ia temu hultaiowi włosy odarłem? ktoż mu winien, czemu się one nie trzymały na głowie, ia zdami się i nie mocno pociągnołem, a otoż zerwałem!. aha.. ha.. ha.. teraz głowa być musi iak kolano łyściuteńka!... (*Przypatruie się krążąc*

perukę) Co ulicha ten włos nie ieſt naturalny?.. to nie ſkura?.. Jako widzę, ludzie tuteyſi nie ſą w rzeczy takiemi, iakimi ſię być ukazuią, i wſzyſtko u nich cudze: dobroć, mądrość, grzeczność, ſame nawet włoſy. Prawdziwie zaczynam ſię obawiać, kiedy myślę, że mi z takiemi ludzmi obcować koniecznie przychodzi. Poydę do Kapitana, ſpytam ſię go, co to w tym wſzyſtkim za taiemnica?..

A K T II.

S C E N A I.

ARLEKIN ZOŁNIERZE TANDECIARZ *Nadchodzi.*

ARLEKIN.

Kapitan udaie przedemną, że ludzie w tym kraiu ſą bardzo dobrzy, a ia ich złośliwemi być doświadczam.

ZOŁNIERZE *nadchodzący*,

Cyt.. cyt.. nie ten to ptaſzek?... coś podobny do tego hultaia, ktorego nam ukrzywdzony Tandeciarz opiſał; zagabnimy go.. (*do Arlekina*) witay bracie!

ARLEKIN.

Witay Bracie (*Krążąc koło nich, przypatruie*

truie się im) Tym szyszom nic dobrego z oczu nie wygląda.

ZOŁNIERZ.

Czy nie postrzegłes Tandeciarza tędy przechodzącego?

ARLEKIN.

Tandeciarza? co się to nosi z towarem? dla oszukania przechodzących.

ZOŁNIERZ.

Może i to być.

ARLEKIN.

Niski, i niby człowiek.

ZOŁNIERZ.

Człowiek niski.

ARLEKIN.

Aha.. ha.. widziałem go, wyciął on mnie niedawno figiel nie mały.

ZOŁNIERZ.

Co za złodziey!

ARLEKIN.

Wyciął mi figiel okrutny, ale mi dobrze za to przypłacił, bo ia z siebie żartować nie daię.

ZOŁNIERZ.

Poczciwie czynisz... co to za hultay! on zaś przeciwnie przed nami powiedział? żeś mu towar bez zapłaty odebrał.

ARLEKIN.

On wam powiedział?

ZOŁNIERZ.

Tak iest.

ARLEKIN.

To i dobrze, prawdę powiedział;.: a toż czy powiedział, żem go do woli nabił, natłukł.

ZOŁNIERZ.

Jakże nie? wſzyſtko to doſkonale przełożył.

ARLEKIN.

Rzecz dziwna!. nie ſpodziewałem ſię, żeby ten hultay tak był rzetelny, i wſzyſtko wam prawdziwie powiedział... On niewołany, nie proſzony, dobrowolnie ſwoy mi towar ofiarował, i tak mi ſię naprzykrzył, że dla przyſługi iego ow towar muſiałem przyiąć. Aż ow oſzuſt chciał, żebym mu dał złote, ia gdybym ie miał, dał bym mu całym ſercem, ale ich nawet nie znam. On ſię oto rozgniewał, i towar raz dany koniecznie chciał odebrać. Tym ſwoim niegodziwym poſtępkiem, tak moię tę Oſobę rozgniewał, iż nie cierpiąc dalſzych drwin, zbiłem go na gorzkie iabłko.

ZOŁNIERZ.

No.. no.. bardzo dobrze.

ARLEKIN.

Owoż i on... ſłuchay hultaiu, oſzuście niepoczciwy, nie prawda to? żeś ſam dobrowolnie przyſzedł, i towar mi twoy offiarował?

TANDECIARZ.

Prawda. coż z tego ?.. Mci Panowie ten to złodziey!

ARLEKIN.

Że ia ten towar wziołem?

TANDECIARZ.

Prawda.

ARLEKIN.

Ześ ty potym domagał się nazad towaru, albo złotych?

TANDECIARZ.

Nie inaczey, chciałem zań 500. Złotych, bo ta była cena iego.

ARLEKIN.

Posłuchaycie tu tylo, czy nie mowiłem ia tobie, że niemam, ani znam tych złotych.

TANDECIARZ.

Mowiłeś.

ARLEKIN.

Mowiłem i to, że niechcę ci wrocić towaru.

TANDECIARZ.

Prawda.

ARLEKIN.

Czy nie rozgniewałeś się oto, iż złotych nie miałem, i że ci towaru oddać nie chciałem?

TANDECIARZ.

Pewnie, żem się rozgniewał; alboż nie słusznie?

ARLEKIN.

Słuchaycie tylko Panowie, słuchaycie; czy nie dałem ci zamiast 500. Złotych, 500. kiiow?

TANDECIARZ.

Gdybym o tym zapomniał, boki by to moie łatwo mi przypomniały.

ARLEKIN.

Otoż tedy widzicie Mci Panowie, żem i w słowku nie skłamał? wszakem go za ięzyk nie ciągnął.

ZOŁNIERZ.

Widziemy.

TANDECIARZ.

Mci Panie nie trzeba innych dowodow, sądzcie o nim z własnego iego wyznania.

ZOŁNIERZ.

Wiemy o wszystkim doskonale, naydziesz dla siebie sprawiedliwość.

ARLEKIN.

Słuchaycie, ten oszust tylko połowę miał edukacyi znać, a nie całą, wiecież co ia uczynię?

ZOŁNIERZ.

Coż takiego?

ARLEKIN.

Myślę puiść do Sędziego, o ktorym on mnie mowił, żeby go douczył, i doskonalszą mu dał edukacyą.

ZOŁNIERZ.

Dobrze, podźże znami, zaprowadziemy cię do Sędziego.

ARLEKIN.

Dopiero iść nie mogę.

ZOŁNIERZ.

Musisz iść, bo tego potrzeba.

ARŁEKIN.

Już mowię że nie mogę, mam zabawy.

ZOŁNIERZ.

Czy frant, czy głupi być muſi... Odłoż te zabawy na inny czas.

ARLEKIN.

Oh nie, niemogę, bo nagłe ſą, dałem ſłowo przyiacielowi, muſzę wraz do niego poſpieſzyć.

ZOŁNIERZ.

Dość tych żartow, drwiſz głową braciſzku?.. niewiniątkiem ſię czyniſz, a w rzeczy ieſteś łotr, i frant, znam cię, idź mi zaraz.

ARLEKIN.

A toż co znaczy?

ZOŁNIERZ.

To znaczy, że trzeba iść do kozy.

ARLEKIN.

Coż to koza? to nie ſtraſzna być muſi beſtya?

ZOŁNIERZ.

Doświadczyſz, czy ſtraſzna, czy nie.

ARLEKIN.

Ale ia iść nie chcę.

ZOŁNIERZ.

Niechceſz? to cię zaprowadzą.

ARLEKIN.

Słuchayże, nie gmieway mię, bo poproſzę ſędziego, żeby i to ie dał ſłuſzną naukę.

ZOŁNIERZ.

Nic to, idź tylo, da on tobie naukę, po ktorey drugiey potrzebować nie będzieſz.

ARLEKIN.

Ja tego ani chcę ani potrzebuię; Kapitan moy nauczy mię wſzyſtkiego.

ZOŁNIERZ.

Opoźnił ſię Kapitan z nauczką ſwoią. Ty zaś bądź pewny, iż iutro o tym czaſie podobno na gałęzi zawiśnieſz.

ARLEKIN.

Ja?

ZOŁNIERZ.

Tak ieſt, ty.

ARLEKIN.

A za co?

ZOŁNIERZ.

Za te cnotki, ktoreś dopiero wyśpiewał

ARLEKIN.

Słuchay ſzyſzu, ieśli mię więcey napaſtować będzieſz, ubiię ciębie, i tych wſzyſtkich hultaiow towarzyſzow twoich.

ŻOŁNIERZ.

Bierzcie go.

ARLEKIN.

No, ſprobuy tylko, weź, no weź *Biorą, on ſię opiera.*

SCENA II.

LELIUSZ. ARLEKIN. ZOŁNIERZE. TANDECIARZ.

LELIUSZ *na ſtronie.*

Wſzak to Arlekina ci Zołnierze ſchwytali, muſiał wczymkolwiek zabredzić... (*do*

Zołnierzy) Mci Panowie, do-kąd człowieka tego prowadzicie? do mnie należy.

ZOŁNIERZ.

Złodzieia na wolney drodze ludzi rozbiiaiącego, do kozy prowadziemy, oto tego Tandeciarza dopiero okradł.

TANDECIARZ.

Tak ieſt Mci Panie, okradł mię.

ARLEKIN.

Ach! nieſzczęſny Kapitanie; żeby cię licho wzięło, i ze wſzyſtkiemi poczciwemi ludzmi kraiu tego; ktorzy politycznie rzeczy ofiaruią, dla uknowania zdrady, ażeby niewinnego obwieſić mogli.... ah! zdrayco! czy na to żeś mię z tak daleka ſprowadził?

TANDECIARZ.

Niewiniątko, iaki frant? chciałem mu niedawno towar moy zbyć, on go zaś wziąwſzy, wmawiał we mnie, żem mu go darmo offiarował. Udawał na oſtatek, iakoby pieniędzy nie znał, i zamiaſt pieniędzy kiiem mi zapłacił.

LELIUSZ.

Och, Mci Panie, ten człowiek dopiero ze mną przybył, ieſt dzikim Amerykaninem, ktory nic zgoła nie wie o zwyczaiach naſzych. Dziś tedy dla uciechy moiey żartuiąc z proſtoty iego, powiedziałem mu, iż w tych kraiach wſzyſtkiego bez trudności doſtać można od ludzi, ktorzy ſami nie proſzeni offiaruią wſzyſtko, nie dodałem, że za pieniądze. On tumu z proſtoty, inſzey wiadomosci nie ma-

iąc uwierzył. Zaczym ia będąc bezwinną przyczyną wyſtępku iego, chcę nadgrodzić. Powiedz mi, w czym cię ukrzywdził? ia ci to zupełnie wrocę.

ZOŁNIERZ.

Jeśli tak ieſt, on tedy nie winien, zapłać tylo Mci Pan temu Kupcowi, a uwolniſz człowieka ſwego.

TANDECIARZ.

Niech tylko jegomość wroci moi towar, ia niczego więcey nie żądam.

LELIUSZ do *Arlekina.*

Maſz że ieſzcze rzeczy, ktoreś mu odebrał?

ARLEKIN.

Mam, ale ſię ich zrzekam, niechcę nic mieć od takiego hultaia, iako on ieſt,.. na zlichem.

ZOŁNIERZ.

To krotka ſprawa.

TANDECIARZ.

Jeſteśmy iuż wſzyſcy uſpokoieni (*do Leliuſza.*) ale W. M. Pana Amerykanin, niewiem, czy ſię cale uſpokoił?. Radbym mu wrocił kilkadzieſiąt kiiow, ktore mi dał, żeby mię potym nie kłocił.

ARLEKIN.

Ale ia niechcę, rzetelny ieſtem, kiedy co dam na zawſze bez żadney pretenſyi daię.

ZOŁNIERZ.

Kłaniamy ſię W. M. Panu.

ARLEKIN.

Idźcie, idźcie do wſzyſtkich katow, choć na złamanie ſzyi;- a ty Panie Tandeciarzu bo day żebyś trafił na ſzubienicę.

SCENA III.

LELIUSZ. ARLEKIN.

LELIUSZ.

Już że ſię doprawdy rozgniewał. muſzę ſię z nim do woli ucieſzyć... Arlekinie! alboż to nie dobry krai? czy nie uczynni, i poczciwi w nim ludzie? co rozumieſz?

ARLEKIN (*na iego patrzy, nic nie mowiąc*)

LELIUSZ.

Milczyſz? powinienbyś mi podziękować, żem cię z turmy oſwobodził.

ARLEKIN.

Niechby licho wzięło turmę, ciebie, Braci twoich, i Oyczyznę twoię!

LELIUSZ,

Czemuż mi tak złorzeczyſz?

ARLEKIN.

Zebym ſię zemścił krzywdy, ktorąś mi uczynił, przywożąc mię do kraiu policyi prawem rządzącego ſię, gdzie pod pokrywką dobroci, i uczynności, ktorey nie maſz, zaſtawiacie ſidła na zdradę tych, ktorych ułowić chcecie... dopiero poznaię, że tu wſzyſtko ieſt obłudą! oy nie tak w laſach Amerykańſkich!

LELIUSZ.

Nie dziw, że tak ſadziſz, bo nie wieſz iak ludzkość, i rzetelność naſzę poznawać należy.

ARLEKIN.

Kłamcą ieſteś, i po wſzyſtkim!... ale mow ſobie, ponieważ cię ięzyk ſwierzbi;.. iakoż ieſtem ciekawy, czym mię przewiedzieſz, że ten Tandeciarz nie ieſt oſzuſtem?

LELIUSZ.

I bardzo łatwo przewiodę. Słuchay, nie żyiemy w tych kraiach w poſpolitości, iako wy w laſach waſzych; tu każdy ma ſwoię własność, i nie wolno nikomu cudzego, tylko ſwego dobra używać, na ktorego utrzymanie prawa ſą poſtanowione, ktore karzą tych, ktorzy cudze rzeczy bez zapłaty przywłaſzczaią; w czym iżeś wykroczył, ſłuſznie ci ſzubienicą zagrożono.

ARLEKIN.

Dobrze... a czymże płacić te rzeczy cudze, ktore biorą?

LELIUSZ,

Pieniądzmi.

ARLEKIN.

Coż to ſą pieniądze?

LELIUSZ.

Oto, to.

ARLEKIN.

To zaś pieniądze? śmieſzna rzecz? (*chcę ugryść*) Czy licho iak twarde.

LELIUSZ.

Pieniędzy nie iedzą.

ARLEKIN.

Coż z niemi robią.

LELIUSZ.

Wydaią ie za rzeczy, ktorych potrzebuią. I możnaby ie kaucyą nazwać, ponieważ z tymi pieniędzmi dostać można wszystkiego, czego żyw chcesz.

ARLEKIN.

Coż to kaukcya?

LELIUSZ.

Kiedy kto naprzykład dał słowo, a nie wierzą mu, dla większey pewności domagaią się od niego kaukcyi, to iest człowieka drugiego, ktoryby zadość uczynił obietnicy, gdyby się pierwszy w słowie nie stawił.

ARLEKIN.

Ah! co ia słyszę, oddal się odemnie.

LELIUSZ.

Czemu?

ARLEKIN.

Bo niechcę mieć sprawy z ludzmi, ktorzy kaukcyi potrzebuią.

LELIUSZ.

Ale ia rzetelny iestem, kaucyi nie potrzebuię.

ARLEKIN.

Ja o tym nie wiem, i chciałbym kaucyi na to, żebym ci wierzyć mogł po tylu kłamstwach, ktoreś przedemną udał.

LELIUSZ.

Masz tedy kaucyą (*daie mu pieniądz*)

ARLEKIN.

Ale ten pieniądz nie iest człowiekiem, a

zatym słowa dać nie może, iakże tedy kaucyą będzie?

LELIUSZ.

Jest iednakże kaucyą, i lepszy iest, niż ktoregokolwiek dane słowo.

ARLEKIN.

Znać, że nie wiele warto wasze słowo. Ani się dopiero dziwuię, żeś przedemną tyle razy nałgał. Ale mię więcey nie oszukasz; bo ieśli chcesz, żebym ci wierzył, day mi kaucyą.

LELIUSZ.

Wiesz tedy z tego, com rzekł dopiero, że tu nic darmo nie dostać, ale wszystko przez zamianę nabywaią. Otoż dla ułacnienia tey zamiany, wynaleziono pieniądze, ktore są niby pospolitym, i powszechnym towarem, ktory się zamienia, na wszystkie rzeczy, i z tymi wszystkiego, czego chcesz, dostaniesz.

ARLEKIN.

Czy podobna, żeby za te fraszki wszystkiego dostać?

LELIUSZ.

Otoż dostać.

ARLEKIN.

Ale iak to być może, ponieważ ich ani ieść, ani pić nie można.

LELIUSZ.

Jeść ie i pić nie można, ale za nie ieść, i pić dostać można.

ARLEKIN.

To śmieszne wasze zwyczaie, nie są może tak całe złe, iakom z razu o nich sądził....

To tedy pieniędzy mieć potrzeba, żeby wſzyſtkiego bez ſtarania, i trudu nabyć?

LELIUSZ.

Tak ieſt, maiącemu pieniądze, na niczym nie zeydzie.

ARLEKIN.

Moim zdanicm wynalazek ten ieſt bardzo dobry. Czemżeś mi tego dawniey ni: mowił? nie byłbym popadł w niebeſpieczeńſtwo zawiśnienia na ſzubienicy... nauczże mię czym prędzey, gdzie te pieniądze rozdaią? żebym ſię w nie opatrzył.

LELIUSZ.

Nie rozdaią ie, iako żywo.

ARLEKIN.

Powiedzże mi gdzie ie mam wziąść?

LELIUSZ.

I wziąść nie możeſz.

ARLEKIN.

Pokażże iak ie mam robić?

LELIUSZ.

Chowày Boże! wiſiałbyś zapewne, gdybyś choć ieden pieniążek zrobił.

ARLEKIN.

A iakże ie mieć.... nie rozdaią, nie biorą, zrobić nie wolno.. Ja tego nie rozumiem.

LELIUSZ.

Zaraz ci wytłumaczę; dwoiacy ludzie ſą między nami: bogaci i ubodzy. Bogaci maią pieniądze, ubodzy zaś nie maią.

ARLEKIN.

Dobrze.

LELIUSZ.

Zaczym, żeby i ubodzy mieli, muszą pracować dla bogatych, ktorzy im udzielaią tych pieniędzy wedle roboty, i zasługi ich.

ARLEKIN.

A coż bogaci robią? kiedy ubodzy za nich pracuią.

LELIUSZ.

Spią, przechadzaią się, i przepędzaią życie w wygodach, i dostatkach.

ARLEKIN.

Wielkie to szczęście bogatych.

LELIUSZ.

Szczęście to, ktore postrzegasz, częstokroć przyczyną im iest wszelkich przykrości.

ARLEKIN.

A to iak?

LELIUSZ.

Bo bogactwa mnożą wraz potrzeby ludzkie, ubodzy pracuią, ażeby mieli tyle, ile im do własnego obeyścia iest potrzeba. Bogaci zaś wszystko obracaią na zbytek, ktory iest u nich bez mierny dla pychy, rozrzutności, i prożności, ktore ich nadymaią. Praca i nędza rodzi się u nich z własnych ich dostatkow.

ARLEKIN.

Jeśli to tak iest, tedy bogaci uboższy są od samych ubogich, ponieważ im na wielu rzeczach schodzi.

LELIUSZ.

Dobrze mowisz.

ARLEKIN.

Ale; ale... ia pieniędzy nie mam, czy dla tegoż ubogim ieftem?

LELIUSZ.

Pewnie, że ieftes.

ARLEKIN.

Co zaś? i iaż będę mufiał tak pracować dla bogatych, iak ci nieſzczęśliwi dla wyżywienia fwego.

LELIUSZ.

A iakże, chyba, że z głodu chceſz umrzeć.

ARLEKIN.

A niech że cię choroba weźmie!... na coż tedy oſzuście nieuczciwy wyciągnąłeś mię z Oyczyzny moiey? czy na to, żebym ubofłwa doświadczył. Gdyby nie ty, nie znał bym go był aż do śmierci. Nie znałem ia w oyczyftym lefie ani bogactwa, ani ubuftwa, byłem fam fobie Królem, Panem, i ługą moim, a tyś mnie niegodziwie wyprowadził z tak ſzczęśliwego ftanu, na nędzę, i niewolą wyprowadził. Mowże teraz złoczynco! człowieku bez wiary i miłofierdzia.

LELIUSZ.

Nie troſzcz fię moy miły Arlekinie, Ja ieftem bogatym, i dam ci wſzyftko, coć będzie potrzeba.

ARLEKIN.

A ia niczego od ciebie nie chcę, ponieważ nic tu darmo nie daiecie. ia zaś niemaiąc pieniędzy owego to czarta, ktory was

wſzyſtkich opętał, nic ci dać nie mogę;. zechceſz pewnie, żebym ci ſię iam oddał, i był twoim niewolnikiem, iako ci nieſzczęśliwi, ktorzy ci ſłużą? Ja chcę być człowiekiem wolnym, i nic więcey... Odwieź mię tedy tam, zkądeś mię odprowadził, ażebym w Oyczyznie moiey zapomniał, iż ſą bogaci, i ubodzy na świecie.

LELIUSZ.

Nie troſzcz ſię, nie będzieſz moim niewolnikiem, będzieſz ſzczęśliwym, daię ſłowo.

ARLEKIN.

Piękne ſłowo, ktore bez kaucyi i tego nie warte.

LELIUSZ.

Damże ia tobie kaucyą (*daie pieniądze*)

ARLEKIN.

Ponieważ tak, otoż mimo nienawiści, ktorą mam ku tym kraiom, obiecuię ſzczerze, choć bez kaukyi zoſtać dla twoiey przyiaźni, i nieiakiego Sbryganiego, z ktorym dopiero wielką mam poufałość.

LELIUSZ.

Dla Sbryganiego mowiſz? Sbrygani, iak pomnę, zwał ſię ſługa Stryia moiego Leandra. Prawdziwie, iego to podobno pierwey napotkałem.... Gdzieżeś ſię widział z tym Sbryganim?

ARLEKIN.

Tam gdzie mię nie dawno potkał.

LELIUSZ.

Jakże on wygląda?

ARLEKIN.

Dobry ieſt człowiek.

LELIUSZ.

Czy był wyſoki?

ARLEKIN.

Nie, nie wyſoki.

LELIUSZ.

Czarniawy?

ARLEKIN.

Tak ieſt.

LELIUSZ.

Czy był ſam ieden?

ARLEKIN.

Nie, był z drugim, trochę ſtarſzym, i ieſzcze iednym ſiwcem aha. ha. ha. gdybyś go widział, pękałbyś ſię od śmiechu!. miał ſuknią czarną, czerwonym podſzytą, noż miał u paſa, brodę długą, nos potężny, potężny. ha. ha. ha. nigdym nie widział poſtaci tak śmieſzney.

LELIUSZ.

To iſtny kſztałt Pantalona, Oyca moiego,. Pantalona,..i Maryuſz z nim być muſiał.... Co by tu oni porabiali?.. nieznośna ſerce moie trapi alteracya! zdrady obawiam ſię. o Nieba? oddalcie odemnie tak nieſzczęśliwe razy! muſzę ſię o wſzyſtkim czym prędzey wywiedzieć.

ARLEKIN.

Co ty mowiſz?

LELIUSZ.

Nic.

ARLEKIN.

Z wielką mi trudnością przyiaźń Sbryganiego przyszła, choć ieszcze zupełna nie iest, bo mi się wprzod pięknych, i gładkich słow, na zniewolenie chęci iego, nauczyć kazano; bo w tych kraiach tak przyiaciol iednaią. Czy prawda?

LELIUSZ.

Tak iest.

ARLEKIN.

Czy mnie nauczysz?

LELIUSZ.

Podobno u stryia dolki podemną kopie...

ARLEKIN.

Coż to sam z sobą mowisz? porzuć tego hultaia, a mow zemną.

LELIUSZ.

Tak, tak.

ARLEKIN.

Tak. tak.. oszalał!.. Coż, nauczyż że mię, tych pięknych i gładkich słow?

LELIUSZ.

Dobrze. potym,... serce moie coś złego przeczuwa, muszę do stryia pospieszyć....

SCENA IV.

LELIUSZ. MARYUSZ. ARLEKIN.

LELIUSZ.

Co ia widzę?... oczy mię łudzą?... tak iest, Brata potykam Maryusza... Mci Panie tym większą, im mniey spodzianą łaskawe mi nie-

ba nadarzaią pociechę, gdy mi ſię dopiero tu przybyłemu nad wszelkie mniemanie z W. M. Panem witać, i kochanego Brata po długim nie widaniu uciſnąć przytrafia.

MARYUSZ (*zmieſzany.*)

Przebog! co ia widzę!

LELIUSZ.

Ah! iak ſzczęśliwa to dla mnie pora, ktorey gdy mi naymilſzego mego brata oglądać i ucałować ſię godzi, wſzelki na tychmiaſt z przeſzłych nieſzczęśliwych przypadkow ſmutek myśl moię opuſzcza, a na to mieyſce niezmierna radość i weſele naſtępuie.

MARYUSZ.

Wiem co uczynię... Mci Panie, długie nie widanie gotowe nie poznanie. Dla czego niech mi ſię godzi zpytać kto, i co za ieden ieſteś?

LELIUSZ.

Kto, i co za ieden ieſtem? mamli temu wierzyć, iż po ſiedmiu leciech niewidania, rodzonego ſwego nie poznaieſz?

MARYUSZ.

Leliuſza zaś, rodzonego mego? w oſobie W. M. Pana mam poznawać? Mci Panie zaniechay proſzę tych niewczeſnych żartow

LELIUSZ.

Martwiſz mię nieſłuſznie zmyślną dyſſymulacyą Braciſzeńku, i dla twey uciechy rozkwilaſz ſerce, taką w przyięciu brata obojętnością, urażone.

MARYUSZ.

Profzę, co za bez wftydny importum, ze mną fię śmię bratać?

LELIUSZ.

Profzę, iak nie użyte ferce!

MARYUSZ.

Mci Panie, widzę, ze guza fzukafz, naydzieíz go upewniam, ieśli mię dłużey napaftować będzieíz.

LELIUSZ.

Już to nie żarty, Panie Bracie, takież to brata przywitanie?

MARYUSZ.

I ieſzcze fię zemną bratać poważafz? patrz, żeby tak zbytnia konfidencya grzbietowi nie fzkodziła... Precz mi z oczu włóczęgo! albo!...

LELIUSZ.

Prawda, że mię przeciwna fortuna włóczęgą do czafu być przymufiła. Wfzyftko w nawałności utraciwfzy, przebiegłem kąty świata w nędzy i ubóftwie. Ztym wfzyftkim Bratem twoim być nie przeftałem, ile gdym w tak niefzczęśliwym ftanie, przy poczciwości ftoiąc, na tak nie ludzkie od właſnego Brata wyrzekanie fię natrafił... Ale rozumiem Panie Bracie, coć to nafze przywitanie tak nieprzyiemne czyni?... Fortunka cię pewnie ftryiowfka z wrodzoney wyzuła ku Bratu chęci? Nadzieia, za przybyciem moim omylona, zdrada, ktorąś uknował niedokończona fkutecznie, tak nie ludzki frzodek, dopię-

cia tak niegodziwych zamysłow tobie podały. Wiedz iednak, że i te szyki połamać potrafię. Spieszę do Stryia, i upewniam, że tym powidaniem wszelkie dalszych nadziei przetnę pasy.. Idę.

MARYUSZ.

Nie przerwiesz, bo za iednym krokiem, ktory uczynisz, w sercu żelazo utkwię.

LELIUSZ.

Smiercią mi ieszcze grozisz? zdrayco!

MARYUSZ,

Tak iest, zginiesz! albo precz z miasta ustąpisz,

LELIUSZ.

Z Miasta? by namniey nie ustąpię, śmiercią zaś, ktorą mi grozisz, pierwszy polegniesz.., wychodź zdrayco okrutny!..

ARLEKIN (*rozbrania*)

Ah! a.toż po iąkiemu? stoicie, co czynicie!

LELIUSZ.

Umykay!

MARYUSZ.

Przebiię cię, ieśli mi nie ustąpisz?

ARLEKIN.

A ia was obudwu ubiię!. oto piękni przyiaciele, ktorzy się nayprzod pięknie witaią, a potym się zabiiaią.

LELIUSZ.

Ustąp! iest tego przyczyna.

ARLEKIN.

Ala iaka? chce o niey wiedzieć, inaczey nie ustąpię.

LELIUSZ.

Nie zbędziem go inaczey, trzeba mu powiedzieć. Oto, Stryi w tym mieście osiadły zapisał mi fortunę swoię; Ten zaś, ktorego widzisz, brat mi podeyście czyni, chcąc mi tę fortunę wydrzeć, i dla pewnieyszego swych zamysłow wykonania mnie się, iako by mię nie znał, zapiera.

ARLEKIN.

I tak ktory drugiego zabiie, ten fortunę od Stryia weźmie?

MARYUSZ.

Tak iest, umykay!

ARLEKIN

Co za szaleni ludzie! słuchayciesz, a wiecie sz komu stryi ią odda? wszak on iednego z was kochać musi, więc nim się bić będziecie, spytaycie się go pierwey, ktorego zabić każe.

LELIUSZ.

Ale bo!..

ARLEKIN.

Ale bo dziwak iesteś. Bo ieśli on tego bardziey kocha, a ty go zabiiesz, w wielką u niego nienawiść popadniesz, a zatym cię i z fortuny zkwituie. Coż ty na to?..

LELIUSZ.

Zdami się, że nie od rzeczy mowi.

MARYUSZ.

Bluźnisz niecnoto! właśnie mi statysta do porady? nic z tego! tak podłych myśli nie

przypuſzczam. Uſtąp z miaſta, albo wraz i z tym, co ci radzi, zginieſz!

ARLEKIN.

A ia cię rozpłatam.

MARYUSZ.

Jeſzcze mi nie milczyſz? przypłaciſz wraz tey śmiałości! *ugania ſię za Arlekinem. W tym wybiegaią Zołnierze na hałas wſzczęty.*

SCENA V.

LELIUSZ. MARYUSZ. ARLEKIN. ZOŁNIERZ.

Przypatruie ſię Zołnierzom Arlekin.

ZOŁNIERZ.

Co to, za hałaſy? wpoſrzod miaſta wzniecacie?

LELIUSZ.

Zagabniony od tego zdraycy, ſzpady na obronę życia dobyć muſiałem.

MARYUSZ.

Na wolney drodze idącego, ci włoczęgowie, zkądſiś przybyli łotrowie mię opadli, z dobytą bronią od napaści ich bronić ſię muſiałem.

LELISUZ.

Napaścią zowieſz braterſkie powitanie?

MARYUSZ.

Braterſkim powitaniem zowieſz, filutowſki na oſzukanie przemyſł? Mci Panowie, nie wiem czego ten oſzuſt odemnie żąda?

Bratem ſię moim czyni, i to mi gwałtem wyperſwadować uſiłuie. Nie wiem, co za proiekt pod tą, ktorą udaie figurą, ſobie ułożył; ia ſię zdrady od tak przewrotnego człowieka obawiam. Więc upraſzam, ażebyście tego, nieznaiomego włoczęgę do czaſu w ściſłym więzieniu oſadzili; upewniam, że tym ſpoſobem wiela złemu, ktore w tym mieście zamyśla, zabieżycie; Ja z moiey ſtrony za beſpieczeńſtwo, ktore mi przez oſadzenie tego filuta, obwaruiecie, nadgrodzić wam znacznie obiecuie.

LELIUSZ.

Mci Panowie nie ſłuchaycie, co ten kłamca bezwſtydny przed wami udaie; Jeſtem Brat iego. Dopiero do portu waſzego przybyły, czemu, iż on bez wſtydnie przeczy, nie ia, ale on na mnie filutowſkie zdrady knować muſi.

ZOŁNIERZ.

Proſzę doiść ſprawy? ieden na drugiego przyczynę tumultu zwala. Potrafię ia z was prawdę wyczerpnąć, idźcie oba do Kmędy!

LELIUSZ.

Aiaż za co? takaż to ſamych ſtrożow ſprawiedliwość?

ZOŁNIERZ.

Co? nie ſprawiedliwość wierutny łotrze śmieſz zadawać? przypłaciſz tey śmiałości na ſkurze twoiey! prawdziwy filut być muſiſz! oto niedawno twoy kolega także figiel chciał kupcowi wyciąć? bierz go!

MARYUSZ.

Zawſze tego konſztu ludzie śmielſzemi ſą do potwarzy, radzę tego filuta na dobrym mieć oku. I iabym przed kommendą wraz ſtanął, gdyby mi intereſſa pozwalały. Wſzakże mnie nie dopiero znacie, i Stryia moiego Leandra, i kiedy tego będzie potrzeba, to mnie przed urząd waſz powołacie; a tego tym czaſem łotra do kozy zaprowadźcie. Mnie zaś iako nie dopiero znaiomemu czaſu do dokończenia pilnych zabaw pozwolcie. Stanę upewniam, ſkoro ſię uwolnię przed komędą.

LELIUSZ.

Co za nie ludzka obłuda!... Mci Panowie, albo obudwu nas do komędy na rozprawę wiedzcie, albo mnie uwolnicie.

ZOŁNIERZ.

Milcz, ia tego poczciwego człowieka znam nie dopiero, ieſzeze tu tylekroć będąc w niczym takowym nie był poſzlakowany. Ty zaś włoczęgo, zkąd, i poco przybyłeś?. Podź znami, i ſprawiſz ſię o tym w kozie.

LELIUSZ.

Ale Mci Panowie!

MARYUSZ.

Proſzę go ściśle pilnować, wrąz ſię znim powrociwſzy rozprawię.

ARLEKIN.

Ho! ho! to pewnie ci ſzyſzowie Kapitana na ſzubienicę prowadzą, muſiał wczym podrwić ſprawę! aha! dobrze tak, brali i oni

mnie, chcieli obwiesić, dobrze tak tobie, otoż mowiłeś że u was są poczciwi ludzie? ciesz się teraz z ich poczciwości!

LELIURZ.

Ktoby się spodziewał, żeby tak Brat rodzony był niepoczciwy...

ARLEKIN.

Trzeba go uwolnić, bo i on mnie w takim razie uwolnił... Hey Mci Panowie! dokąd tego człowieka prowadzicie? on do mnie należy!

ZOŁNIERZ.

Czy nie twoiego pułku? zowie się holtay!

ARLEKIN.

Jeśli was wczym ukrzywdził, wraz to wrocę, tylko go nie wieszaycie, bo dobry człowiek.

ZOŁNIERZ.

Coż to za śmiałek? weźmi tego ieszcze hultaia!

ARLEKIN.

Maszże (*do Leliusza*) ieszcze rzeczy, ktoreś tym szysżom odebrał? mowże, bo ia kiedy wrociłem, com był wzioł od Tandeciarza, to oni mię wraz puścili, wiesz?

ZOŁNIERZ,

Czy oszalał?

LELIUSZ.

Porzuć te żarty Arlekinie.

ARLEKIN.

Idzże sobie, kiedy chcesz koniecznie wiseć.... Ale szkoda go poczciwy człowiek,

żeby go iak oswobodzić?.. To bieda, że ia policyi tuteyszy nie umiem, uwolnić go nie potrafię!... Ale oto Skapino, muszę się oto znim naradzić.

SCENA VI.

SKAPINO. ARLEKIN.

SKAPINO.

Gdzie Pan Arlekinie?

ARLEKIN.

Może iuż dopiero i na szubienicy.

SKAPINO.

Co bredzisz? pytam się dokąd Pan poszedł?

ARLEKIN.

Poszedł, i nie poszedł, bo go zaprowadzono.

SKAPINO.

Kto, i dokąd?

ARLEKIN.

Kto?.. szyszowie iacyś, ktorych żołnierzami nazywacie.

SKAPINO.

Zartuiesz, do kąd że go zaprowadzili?

ARLEKIN.

Gdzie i mnie nie dawno zaprowadzić chcieli: na szubienicę.

SKAPINO.

Co ty mowisz?

ARLEKIN.

Oto, dobrze mowisz, czy ty mnie

wierzyſz?.. maſz kaucyą tey prawdy, ale ia i bez niey rzetelnie mowię.

SKAPINO.

Zarty na ſtronę, powiedz kędy Pan? bo mam ſię znim pilnie widzieć.

ARLEKIN.

Jużem powiedział, boday czy nie na ſzubienicy, ia kłamać nie umiem.

SKAPINO.

Ale Arlekinie..

ARLEKIN.

Ale Skapino, wierz mi; chciałem go uwolnić, ale ſię nie udało, i mnie ſamego obieſić chcieli. Naucz mię a uwolnim go.

SKAPINO,

Ja z nim ſię dziś nie rozmowię?... Powiedz mi, co ſię z Panem ſtało?

ARLEKIN.

Dopiero nie wiem co ſię z nim ſtało. bom ſom uciekać muſiał,

SKAPINO.

Coś tu być muſi?... ale bieda mi z tym nieukiem!. Arlekinie, wytłumacz ty to mnie iaśniey, co mowiſz.

ARLEKIN.

Otoż ci powiem; ſzedł tędy mimo człowiek iakiś, z ktorym ſię Kapitan mile witać począł; tamten nie wiele mowiąc, kawałek żelaza, co tu u boku w tych kraiach wieſzaią, dobył, i chciał Kapitana na ſzpikować, Kapitan mu ſię nie dawał. Aż w tym wy ko- ...ło trzech iakiśeiś ſzyſzow, ktorzy Kapi- ...a ſzubienicę poprowadzili.

SKAPINO.

A tamtegoż?

ARLEKIN.

Nie. on ſam tu poſzedł.

SKAPINO.

Jakiſz to był człowtek? i co za ieden?

ARLEKIN.

Spytay ſię iego, kiedy chceſz. Nazywał go Kapitan bratem, a on iego ſi. ſi. lutem.

SKAPINO.

Jak że ten człowiek wyglądał?

ARLEKIN.

Podobny do Kapitana.

SKAPINO.

Czy nie Maryuſz? brat iego? iako on powiada... Lecz co by on tu robił? i zkądby ta ſprzeczka między Bracią?... wktorąż ſtronę Pana poprowadzono?

ARLEKIN.

Od tu!...

SKAPINO.

Czy żołnierze prowadzili?

ARLEKIN.

Tak, oni.

SKAPINO.

Podźże zemną, uwolniemy Pana.

ARLEKIN.

Hoy! nie poidę, idz ſam, kiedy chceſz wiſieć; ia ſię z Sbryganim widzieć muſzę.

SKAPINO.

Ale nie boy ſię, podź.

ARLEKIN.

Hei, nie!

SKAPINO.

Czy nie dziwnyſz to proſtak?.. muſzę tam o Panu ſię wywiedzieć; ale gdzie go naydę? ieśli go nieſzczęście ſpotkało, iako on mowi. U komędy ſię naypewniey dowiem. Idę.

AKT III.

SCENA I.

ARLEKIN. Sam ieden (*po Europeyſku przebrany.*)

Otoż ładny Pan Arlekin! dziwnie, i ſmieſznie piękny ieſtem dopiero. Mam kudły pożyczane, ſukie piękne w prawdzie, ależ co to potym? ponieważ te piękności nie ſą moie... Z tym wſzyſtkim powiadaią, że pod temi ſzorami nierownie ſię grzeczniey-ſzym ſtanę, iakoż i tak być muſi. ha. ha. h.. Czy nie ſzaleniſz to ludzie? że ſię te fraſzki pięknie wydaią, radziby i mnie podobno na to zdanie pociągneli, ażebym w nich miał ia Arlekin moie rozumne upodobanie? ale ſię oſzukaią. Bo i ſak trzymam rozumnie, że te wſzyſtkie rzeczy będąc cudze,

nic mi zgoła prawdziwie dobrego przydać nie mogą. Wszakże się ia temu nie dziwuię, że oni tak są śmiesznie wyperswadowani; bo im policya, i ich właściwa edukacya, zda mi się, rozum pomieszała. Szkoda ich wreszcie, bo są dobrzy czasem ludzie, niechże sobie szaleią, i ia ich przyimę szaleństwo, ale tylko na grzbiet w tych ferezyach, a co do głowy nie dopuszczę, gdyż rozum inaczey radzi.

SCENA II.

ARLEKIN. UKRZYWDZONY.

UKRZYWDZONY.

W nieszczęściu, ktore mnie trapi, sama tylko odludność naymilszą mi się staie pociechą, gdzie przynaymniey do woli na niesprawiedliwość ludzką uskarżać się mogę.

ARLEKIN.

Jak ia sobie uważam, ten człowiek gniewa się na kogoś.

UKRZYWDZONY.

Szczęśliwsi nie rownie, i po tysiąc kroć szczęśliwsi dzicy owi w dalekim kraiu świata ludzie, ktorzy się samym tylko prawem natury rządzą, a nigdy się z zdradliwymi prawnikami nie poznali!

ARLEKIN.

Oh! oh! zdaie się ten człowiek być rozumny... Hey dobrze moy bracie mowisz, wszyscy w tym kraiu chytremi iesteście.

UKRZYWDZONY.

Coż to? za napaść?

ARLEKIN.

Idę o zakład, że cię obieſić chciano; powiedz prawdę?

UKRZYWDZONY.

Głupiś ieſt moi kochany wiedz, że ludzi moiey rangi nie wieſzaią.

ARLEKIN.

Ot to kiedy iuż zełgał! czy nie wieſz że godnieyſzych i lepſzych od ciebie wieſzaią; nie wielkaby była ſzkoda, żeby i ciebie na gałęź wynieſiono! nadto uważ to ſobie, że mnie ſamego, mnie Arlekina przed małą chwilą ledwo co nie obwieſzono, a coż ciebie?

UKRZYWDZONY.

Chciano ciebie?

ARLEKIN.

Tak ieſt, mnie w moiey oſobie.

UKRZYWDZONY.

Znać, że ſłuſzne tego przyczyny miano.

ARLEKIN.

Jako żywo, nie, cała przyczyna, napaść była. A to tak: hultay nie iakiś nazwiſkiem, ile pomnę, Tandeciarz, ofiarował mi ſwoy towar, iam go przyiął właśnie z przyiaźni. On potym chciał odemnie pieniędzy, iam zaś nie chciał dać, bo ſam nic nie miałem On w złość, ia w złość, on do mnie, ia do nieko, aż mu potym kiiem zapłaciłem. Otoż tak

ſłu-

ſłuſzną przyczynę miano ?... ale nie tu koniec; ten hultay ſprowadził drugich hultaiow, z ktoremi mię chciał obwieſić, i iuż by przyſzło do tego, gdyby mię Kapitan moy z rąk ich nie był wyrwał.

UKRZYWDZONY.

Biada mnie, właśnie mi do zupełności biedy takowego ſpotkania potrzeba było! iuż po wſzyſtkim, trafiłem, widzę, na iakiegoś rabuſia, ktory tu w bliſkości znać ma ſwoię bandę, i Kapitana, iako ſam ſię wymowił. I ſuknie oto ma na ſobie, ktore zdarł z kogoś ?.

ARLEKIN.

Co ty tam u kata ſzepceſz ?

UKRZYWDZONY.

Mowiłem ſobie, że ten kupiec, nieſłuſznie ſię obſzedł z tobą.

ARLEKIN.

Pewnie że,.. ia mowię, że on zdrayca, obwieś, hultay, niecnota!

UKRZYWDZONY.

Tak ieſt, i ſłuſznie ſię gniewaſz, bo to nie fraſzka być obwieſzonym.

ARLEKIN.

Co u licha, nie tylko nie fraſzka, ale rzecz bardzo mnie obchodząca; iakoż ile razy na ten iego poſtępek wſpomnę, tyle razy ſam ſię z gniewu nie poymuię! no, no! dam ia iemu!

UKRZYWDZONY.

Trzeba ſię na potym takowych ludzi pilnie wyſtrzegać... Kłaniam ſię W. M. Panu!

ARLEKIN.

Dokąd idziesz?

UKRZYWDZONY.

Poydę tu do zgromadzonych nie daleko przyiacioł moich, ktorzy mię wyglądaią.

ARLEKIN.

Nie poydziesz, bo ia chcę, żebyś się tu zatrzymał, rozmowiemy się z sobą.

UKRZYWDZONY.

Czasu nie mam.

ARLEKIN.

Musisz go znaleść, bo ia tak chcę.

UKRZYWDZONY *na stronie.*

Zginołem, szczęście moie, ieśli mi życie daruie!

ARLEKIN.

Powiedz mi, czy iesteś poczciwy człowiek?

UKRZYWDZONY.

Jestem z daniem moim.

ARLEKIN.

Ja temu nie wierzę bez kaucyi, gdyż bez niey wasze słowa nic nie ważą. Dayże mi wprzod kaucya, a potym się rozmowiemy.

UKRZYWDZONY.

Zkądże ia onę wezmę?

ARLEKIN.

Zkąd?. poszukay tylko w tych pobocznych dziurach, bo wy ie tu za zwyczay chowacie.

UKRZYWDZONY.

Dosyć, iuż po mnie! nie masz się czego

targować... Mci Panie, znam czego odemnie żądasz?.. Masz worek, a w nim resztę substancyi moiey.

ARLEKIN.

Gdyby kto zemną tak postąpił, wrazbym go ubił, ponieważ iestem poczciwy człowiek, i rzetelność moia kaucyi nie podlega.

UKRZYWDZONY.

Nic ia o tym nie wątpię, kłaniam W. M. Panu.

ARLEKIN.

Poczekay ieszcze!

UKRZYWDZONY.

Ah! biada mnie w tak nieszczęsnym razie!

ARLEKIN.

Zal mi, że z tobą tak postąpić muszę, zdaiesz mi się bowiem być poczciwym, i dobrze trzymasz o Amerykańskim narodzie naszym.

UKRZYWDZONY.

Bodaybym się między niemi urodził, nie podlegałbym tylo nieszczęściom, ktore mię zewsząd otaczaią.

ARLEKIN.

Na, wracam ci twoię kaucyą, wierząc na gołe słowo, żeś poczciwy człowiek, ponieważ życzysz sobie być wespoł obywatelem narodu mego.

UKRZYWDZONY.

Ale Mci Panie..

ARLEKIN.

Wieszże o tym? i żem iest dziki Amerykanin?

UKRZYWDZONY.

W. M. Pan? zaś?

ARLEKIN.

Ja, przybyłem dziś do kraiu tego, i iuż więcey w nim niegodziwości postrzegłem, niż bym był przez tysiąc lat w oyczystych lasach doznał.

UKRZYWDZONY.

Może i to być.. chwałaż Bogu, aż mi lżey stało.

ARLEKIN.

Powiedz mi dopiero, czego się frasuiesz?

UKRZYWDZONY.

Przegrany mam proces.

ARLEKIN.

Proces?...proces.. Coż to iest ten proces?

UKRZYWDZONY.

Zwyczaynie sprawa, ktorą z drugim sąsiadem miałem.

ARLEKIN.

Coż to iest ta sprawa? iak ona wygląda?

UKRZYWDZONY.

Jak wygląda? zwyczaynie, iak wszystkie processa.(*na stronie*)Proszę iak mu tu iaśniey wytłumaczyć, co to iest proces?...Wiesz W. M. Pan o tym, że mamy prawa w tych kraiach?

ARLEKIN.

Wiem.

UKRZYWDZONY.

Tych praw przestrzegaią ludzie mądrzy, i rostropni.

ARLEKIN.

To pewnie ci, ktorych nazywacie Sędziami? czy tak?

UKRZYWDZONY.

Tak ieſt. Otoż, gdyby kto komu fortunę odebrał, pozywaią go przed tych Sędziow, ktorzy roztrząſaią oboyga ſtron dokumenta, dla przyſądzenia ktoreykolwiek z tych, ſłuſzności.

ARLEKIN.

Ha, ha rozumiem dopiero, co to ieſt?

UKRZYWDZONY.

Już lat ieſt temu 10. iakom zaczął prawo z ſąſiadem iednym, ktory mi był winien 500 Złotych, aż teraz kilka w przod podiowſzy ſądow, oſtatecznie przegrałem.

ARLEKIN.

Na coż było kilka ſądow dla iedney ſprawy podeymować?

UKRZYWDZONY.

Dla wątpliwości, ktore wybiegi prawne uraſzczaią.

ARLEKIN.

Wybiegi prawne?... Co ty przez to rozumieſz?

UKRZYWDZONY.

Trzeba rozumieć ſpoſob wynaleziony na zawikłanie ſprawy z ſiebie nayiaśnieyſzey; ktora ſtaie ſię nie poiętą, i długo nie zrozumianą, kiedy nad nią prawne głowy mieſiąc iaki poſiedzą.

ARLEKIN.

Coż to ſą za iedni?

UKRZYWDZONY.

Są to ludzie mądrzy, biegli w prawie, ktorzy w pewnym kſztałcie, i porządku przekładaią ſprawę Sędziom dla uniknienia iakieykolwiek zdrady.

ARLEKIN.

Bardzo dobrze, iuż tedy takim porządkiem i kſztałtem ſprawę przed Sędzią przekładaiąc, zdrady obawiać ſię nie trzeba?

UKRZYWDZONY.

I owſzem, tenże ſam kſztałt okazyą częſtokroć zdrady podaie.

ARLEKIN.

Jakże to?

UKRZYWDZONY.

Bo od niey wſzyſtkie prawne wybiegi ſiły nabieraią.

ARLEKIN.

Prędzey z głowy wynidę, niż to, co mowiſz, wyrozumiem. Ale powiedz mi: ponieważ Sędziowie, ludzie mądrzy na czynienienie ſprawiedliwości wyſtawieni ſą, czemuż tym wybiegom prawnym nie zabiegaią?

UKRZYWDZONY.

Nie zabiegaią, bo nie mogą, gdyż wybieg ten prawny nic innego nie ieſt, tylko nieiakieś pozorne na ſamymże prawie oſadzone prawa tłumaczenie, ktoremu kſztałt pewny, czyli forma, ktorą na uniknienie zdrady poſtanowiono, pochop dało.

ARLEKIN.

Widzę, że te prawa, i ta forma, iakoś nazwał, prawa waſzego, rownie iako i rozum waſz pomieſzane być muſzą!... Ale powiedz mi, ponieważ wiecie, że ci prawo umieiący ludzie ſprawy waſze mieſzaią i nie porozumiane czynią, czemuż im wy one powierzacie? ia gdybym miał ſprawę, upewniam, że tym Jmciom i noſa do moiey ſprawy nie dałbym wścibić.

UKRZYWDZONY.

Niepodobna bowiem bez nich ſię obeyść, gdyż ci ludzie ſą prawnie poſtanowieni, przez ktorych ſprawy przed Sędziow zanieſiony być maią, ani ſię godzi W. M. Panu w ſprawie ſwoiey ſamemuż ſtawać.

ARLEKIN.

Czemuż mi ſię nie godzi?

UKRZYWDZONY.

Boś ſię W. M. Pan prawa nie uczył, i formalitatem Juris nie rozumieſz.

ARLEKIN.

Jak?. iak., że nie umiem ſztuki zawikłania, zamieſzania, ſprawy moiey dla tego produkować nie mogę?

UKRZYWDZONY.

Nie. niemożeſz!

ARLEKIN.

Słuchay, dobroć wrodzona gniew we mnie i ſłuſzną zemſtę wſtrzymuie. Inaczey łeb bym ci rozpłatał za tak bezwſtydne kłamſtwa... Czy przeto? iżem ci kaucyą wrocił, tak ſię ze mnie śmiało natrząſaſz?

UKRZYWDZONY.

Nie natrząſam, iako żywo, nie, ale prawdę w ſwey ſzczerości przekładam. Prawa ſą mądre, Sędziowie roſtropni i ſprawiedliwi; ale złość ludzka, ktora każdey rzeczy na złe zażywać zwykła, zażywa czaſem powagi i pozoru ſprawiedliwości dla utrzymania, i ukrycia nieſprawiedliwości... A że prawo bez wydatkow pieniężnych obeyść ſię nie może, ubodzy czaſem długo ſprawiedliwości czekać muſzą, a możnieyſi wycięczać ſwe ſzkatuły.

ARLEKIN.

Co zaś? pieniądze daiecie?

UKRZYWDZONY.

A iakże prawo bez pieniędzy zacząć?

ARLEKIN.

Czy nie licho z temi pieniędzmi? bez nich w tym kraiu ani ſtąpić, wſzyſtko przedażno za pieniądze, ſamę nawet ſprawiedliwość kupuią.

UKRZYWDZONY.

Nie godzi ſię o tym ani myśleć! ſprawiedliwość co do iſtoty nic nie koſztuie, ale forma ſprawiedliwości, albo Juris formalitates, drogo koſztuią. Jam ſię z tąd wycięczył, dla utrzymania moiey ſprawy, ktorąm dopiero przegrał, bo nie była prawna.

UKRZYWDZONY.

I to cię alteruie?

UKRZYWDZONY.

Otto pytanie? iakże mię nie ma taka ſtrata alterować?

ARLEKIN.

Tam do kata, raczey byś się cieszyć powinien!

UKRZYWDZONY.

Czemu?

ARLEKIN.

Boś dopiero pozbył rzeczy takiey, ktora byś rad był przed dziesiącią laty bez tych nakładow daremnych utracić... Ja zaś szczyrze ci, mowię, że gdybym miał podobny towar, dawno bym go był w rzece utopił. ale.. ale.. namieniłeś podobno, że ten proces, ktoryś przegrał, był o 500 Złotych?

UKRZYWDZONY.

Tak iest.

ARLEKIN.

Szkoda, żeś go stracił; gdybyś go miał dopiero, prosiłbym, żebyś mnie go ustąpił, wrazbym zaniąsł owemu oszustowi, kupcowi, ktory domagał się o oddanie 500. Złotych za swoy towar. I oddał bym mu go w zapłacie na zemszczenie się, i oddanie figla, ktory mi ten hultay wyrządził.

UKRZYWDZONY.

Pewniebyś się W. M. Pan lepiey zemścić nie mogł.. Mci Panie, reflexye W. M. Pana folgę czynią żalowi memu, i radbym się dłużey z W. M. Panem zabawił, a miley iego zażył konwersacyi, ale mi interessa dłużey bawić nie pozwalaią. Więc kłaniam W. M. Panu.. Bodaybyś tey niewinności i prostoty iak naydłużey dochował!

ARLEKIN.

Kłaniam, ieśli masz cokolwiek rozumu, strześz się prawa!

SCENA III.

ARLEKIN. *sam ieden.*

Niech licho bierze wszystkie processa prawne! ah! co zdrad pod tak pięknym tai się słowkiem. Lękam się mocno, by gdzie na prawo nie nastąpić, bo to licho bardzo nie spokoyne... ale, wiem, dobra, i pieniądze są prawa okazyą. ho! ho! odrwisz się prawo z wybiegami swemi, i formami, Ja nic mieć nie będę, a zatym nie będę się znikim prawował!

SCENA IV.

LEANDER. ARLEKIN. SBRYGANI.

LEANDER.

Owo nasz Amerykanim. Jakże się pięknie ustroił?

SBRYGANI.

Jak się masz Arlekinie?

ARLEKIN.

Ha! bądź zdrow Sbrygani.

SBRYGANI.

Jakżeś dopiero grzeczny?

ARLEKIN.

Czy grzecznieyszy niż przedtym?

SBRYGANI.

Pewnie, nie rownie grzecznieyſzy.

ARLEKIN.

To i dobrze, bom ia tak chciał.. Jeſtem nie poczciw, ieśli u tych ludzi rozum nie ieſt pomięſzany!

LEANDER.

To ci ſię dziwno być zdaie, że cię grzecznieyſzym w tym ſtroiu ſądzą.

ARLEKIN.

Jakże nie dziwno mi? żem ſię ſtał iednym razem grzecznieyſzym, chociażem nic z ſwego do tego nie przyłożył... Kiedy zaś wſpomnę na to, co wemnie Kapitan wmawiał, odiąć ſię śmiechowi nie mogę, naprzykład powiedział mi.. ha. ha. ha.,

LEANDER.

Coż ci powiedział?

ARLEKIN.

Powiedział, że ludzie grzecznieyſi tak ſię iak ia dopiero w tych kraiach noſzą.. aha. ha.,

SBRYGANI.

I ia od śmiechu wſtrzymać ſię nie mogę ha. ha. ha,

ARLEKIN.

Powiedział mi ieſzcze, że z ludzmi niedobrze ubranemi wſtyd ieſt obcować, a ludzi ſtroynieyſzych z więkſzą dyſtynkcyą przyimuią... aha. ha. ha. Rozumiał podobno, że na dudka natrafił, ktorego łatwo ułowi, ale nic z tego, znam ia co prawda, a co drwiny, nie prętko kto te we mnie kłamſtwa wmowi.

LEANDER.

W mowi, czy nie wmowi, sam potym doznasz, że piękna suknia estymacyi, i powagi przymnażać się zdaie.

ARLEKIN.

Wierz mi, że nie masz żadnego, tak głupiego Amerykanina, ktoryby z was, i z zdania waszego nie szydził, gdyby usłyszał: że są ludzie na świecie, ktorzy z kroiu, i piękności sukien w ludziach grzeczności i zacności miarę biorą. Ale dosyć tego!. Sbrygani, to mię naybardziey cieszy. że czego mi do utwierdzenia przyiaźni z tobą potrzeba było, razem z tą suknią tego nabyłem.

SBRYGANI.

Wiedz, że mnie się ten twoy affekt podoba moy Arlekinie.

ARLEKIN.

Ah! ah! ieszcze to nie wszystko... nauczył mię Kapitan rożnych kontorsyi, wykrzywiania, kiwania, ktore iak on mowił, w tych sukniach koniecznie umieć potrzeba... Patrz czy dobrze tak: (*przechadza się z iunakieryą*)

LEANDER.

Aha ha. ha. oto kiedy się nadął? aha. ha. ha. boki od śmiechu po zrywam.

SBRYGANI.

Czy tyle cię Kapitan nauczył?...

ARLEKIN.

Oh! nie, nauczył mię ieszcze, iak to pięknie z kim mowić. posłuchaycie tylo: Mci

Panie Sbrygani,.. ſzczęśliwa ta godzina, ktora mię z Amerykańſkich laſow wyprowadziwſzy, w tych kraiach ſtawiła, ażebym... w tych krniach ſtawiła, ażebym...

LEANDER.

Coż daley?

ARLEKIN.

Ażebym,... w tych kraiach ſtawiła, ażebym...

SBRYGANI.

Prędzey, prędzey,

ARLEKIN.

Ażebym, ażebym, ażebym.

LEANDER.

Ażebym co?

ARLEKIN.

Ażebym zamilkł, i nic cale nie mowił... Czy nie choroba! z taką pamięcią? wſzyſtkiegom zapomniał, czegom ſię był nauczył.

SBRYGANI.

Szkoda, znać z początku, że coś pięknego daley było.

ARLEKIN.

I bardzo pięknego, coż mi czynić teraz?

SBRYGANI.

Czyń, co chceſz, mnie co do tego.

ARLEKIN.

Zapewne ſłowka nie rzekłſzy, z tąd odeyść będę muſiał.

SBRYGANI.

Co zaś? nie możeſz to ſłowy wyrazić, że mi ſprzyiaſz?

ARLEKIN.

Sposobem waszym nie potrafię, bom w tey mierze głupi iak sadło.

LEANDER.

Prawdziwie, śmieszne stworzenie!... wierz mi Arlekinie, porzuć piękne słowka, a powiedz rzetelnie to, co masz w myśli, to daleko lepiey, tobie zaś łacniey będzie.

ARLEKIN.

To prawda, wolę i ia tak. Bo też w tym komplemencie, ktorym przepomniał, wiele i aż na zbyt wiele było kłamstwa, Naprzykład, było to: że dla obrony honoru i fortuny twoiey własne życie gotow iestem utracić. A to iest nie prawda, bo kto mi kazał, za tak marną rzecz życie, ktore iest człowiekowi naymilsze, tracić. A tak moy Sbrygani, ia bym cię tą moią mową, pewnie oszukiwał; niechże tam poydzie do kata ow kąmplement, nie bardzo mi teraz żal, że wypadł z pamięci.

LEANDER.

Otoż pięknieysze dopiero rzeczy powiedziałeś nad to wszystko, czegoś przepomniał. Wierz, żeś się tą rzetelnością bardziey, niż tysiąc kąplementami przypodobał. (*To mowiąc tabaki zażywa.*)

ARLEKIN.

Coż to robisz?

LEANDER.

Alboż nie widzisz co robię?

ARLEKIN.

Ah! co ia widzę.

LEANDER.

Coż to nowego?

ARLEKIN.

Jakże nie nowego?.. Jam dotąd nie wiedział, że ty nosem, a nie gębą iadasz. ah! fe, fe...

LEANDER.

A tyż iak?

ARLEKIN.

Ja zwyczaynie gębą.

LEANDER.

Ale tego nie przełkniesz.

ARLEKIN.

Jak to nie? pokaż (*tabakę kładzie do gęby*) a. fe, co to za przeklęty proch tfuy, tfuy... ah! co to za diabeł tak gorzki, ostry, zgryżliwy! twy. twy.. ah! zginołem ięzyk mi odgryzie, albo spali. tfuy! tfuy! tfuy...

LEANDER.

Proch ten dobry i potrzebny, ale go użyć nie umiesz. nie gębą, ale nosem zażywać należy. patrz (*zażywa tabaki*) zażyi dopiero.

ARLEKIN.

Nie mogę, nie;

LEANDER.

Trzeba się przyuczać, bez tego w posiedzeniu przyiacielskim obeyść się trudno.

ARLEKIN.

Coż kiedy ia nie nazwyczaiłem się nosem iadać... a ty czy umiesz Sbrygani?

SBRYGANI.

Patrz, (*zażywa*)

ARLEKIN *zagląda w nos Sbryganiemu.*

SBRYGANI.

Coż to znaczy?

ARLEKIN.

Patrzę, ieśli zęby w noſie macie?

LEANDER.

Ha, ha,.. co po zębach w noſie? zęby iako i ty w gębie mamy.

ARLEKIN.

Zęby w gębie macie, iakże ten proſzek noſem iadacie? ia tego nie poymuię.

LEANDER.

Poymieſz, kiedy ci wytłumaczę: Proſzek ten widziſz, na ſpędzenie zalegaiących w noſie i głowie humorow wynaleziony, ktory przez nos wciągany, nie iedziony, ani, iak ty rozumieſz, gryziony bywa. Zażyi go tylo, a wraz tego ſkutku doznaſz.

ARLEKIN.

Dayże (*zażywa mocno tabaki, potym rzuciwſzy tabakierkę o ziemię*) ah! ah! ah! oſzukałeś mię oſzuście! co ia z moim noſem teraz pocznę?... ah! ah! (*kicha*) ah! ah! nos kręci gorzki diabeł.

LEANDER.

Stoy, nie boy ſię, będzie nos cały.

ARLEKIN.

Gdzie u licha cały, iuż ſię podobno i poſzczepał ah! ah!. obacz obłudniku, oſzuście! zwodzicielu! LEAN-

LEANDER.

Nieprawda, noſa, nie okaleczyſz. że zaś gryzie, przeto kichaſz; ale to ieſt do czaſu, nim ſię nazwyczaiſz; wſzakże to ſamo na zdrowie wynidzie.

ARLEKIN.

Nie chcę ia tego zdrowia, co mi nos kręci... Czy wieſz, oto tego diabła podſuń temu noſatemu ſtarcowi, zktorym byłeś tu niedawno, niechay mu trochę noſa ukręci, bo nazbyt ma wielki... Słuchay, iak ſię ten bies zowie?

LEANDER.

Tabaka.

ARLEKIN *kicha.*

Boday ią kat piekł! nie widzę ia w niey żadnego pożytku, tylko, że nos iak świdrem wierci.

LEANDER.

Jeſt na to ſpoſob, chuſtka w kieſzeniach, ktorą nos gdy wytrzeſz, gryzienia czuć nie będzieſz.

ARLEKIN.

To chyba... nie wiedziałem prawdziwie na co mi tę płachtę w poboczne dziury wetkano. (*dobywa chuſtki, w tym nieoſtrożnie zwierciadło mu z kieſz eni wypada, ktore obeyrzawſzy*) a to co?

LEANDER.

Nowa tu z tym nieukiem komedya będzie.

ARLEIN (*obaczywszy w zwierciedle*)

Ah! czy widzisz? nie wiedziałem prawdziwie, żem człowieka w kieszeni nosił?.. Jakże piękny?.. rusza się,.. śmieie się, &c... Jakiż to dziwny człowiek?.. spoirz ieno Sbrygani:... aha,.. śmieie się ze mnie... ah! alboż ty dwoiaki Sbrygani? bo ia tu ciebie drugiego widzę?

SBRYGANI.

To nie ia, ale moia postać.

ARLEKIN.

Jakże tu u licha wlazła?

SBRYGANI.

Aha.. ha.. ha.

ARLEKIN.

Patrż, patz, i on się śmieie aha. ha. ha.. ah! i drugi się śmieie aha. ha. ha. &c. Poczekay, skrzywię się.. ah i on krzywi się, pokażę ięzyk, figę &c.

LEANDER.

Prawdziwie śmieszna scena, *Arlekin szuka za zwierciadłem, i łapa.*

LEANDER.

Czego szukasz?

ARLEKIN.

Oglądam mieysce, gdzie ci ludzie są, tak iest wielki iak Sbrygani, a iednakże miesca nie widzę, gdzie on iest. (*bierze zwierciadło, a gdy nie widzi w nim postaci Sbryganiego, mowi*) ha, gdzie się ten podział, co był tobie podobny?

LEANDER.

Rzecz ci całą wytłumaczę... nazywaią to zwierciadłem, ieſt to ſekret, ktory mamy do widzenia ſiebie, bo co to widziſz, ieſt tylo wyobrażeniem twoim, ktore to ſzkło odbiia. Toż czyni, że wſzyſtkiemi rzeczami, ktore przed nim ſtawione bywaią.

ARLEKIN.

Jeſt to ſekret bardzo piękny; powiedz mi iednak: ponieważ takowe zwierciadła robić umiecie, czemuż takiego nie wynaydziecie? ktoreby zamyſły, i chęci waſze wyrażało? te by nie rownie potrzebnieyſze było, bo mogłbym w nim obaczyć, ieśli ze mną ſzczyrze, a nie obłudnie Sbrygani poſtępuie, gdy ſię moim przyiacielem czyni.

LEANDER.

Zaiſte takowe zwierciadło byłoby pożyteczniejyſze.

ARLEKIN.

Ani wątpić; i gdybym był miał takie na ow czas, kiedy ow hultay Tandeciarz chciał mię oſzukać, byłbym go w nim obaczył, a przeniknowſzy iego złe zamyſły, uwieść bym ſię nie dał.

SBRYGANI.

To pewna, żaden by cię nie oſzukał.

ARLEKIN.

Gdyby to miał także zwierciadło i moi Kapitan, pewnieby zrozumiał, co za zdrady knował na Jego ow hultay, ktory go kazał zaprowadzić do więzienia.

LEANDER

Ale,. nie raz mi wſpomniałeś o twoim Kapitanie, powiedz mi: iak ſię on zowie?

ARLEKIN.

Jak ſię zowie?.. zowie ſię Kapitan, a więcey nie wiem, to wiem, że on ieſt człowięk, ma nos, gębę, uſzy, głowę, nogi, iako i ty. i on mię z ſobą przywiozł z Ameryki.

LEANDER.

Z Ameryki?... Czy nie Leliuſz to moy Synowiec?...

SCENA V.

LEANDER. ARLEKIN. SBRYGANI. SKAPINO.

SKAPINO.

Całe prawie miaſto zbiegawſzy, iak na nieſzczęście Leandra domu nie nayduię, nie wiem gdzie go iuż i ſzukać? poydę daley, a może ſię dopytam.

LEANDER.

A toż co ia widzę? patrz Sbrygani-

SBRYGANI.

Ah! Skapino ſługa Leliuſza,... Skapino.

ARLEKIN.

Skapino a Kapitan gdzie?

SKAPINO *do Leandra.*

Ah! Mci Panie, iak ſzczęśliwym trefunkiem po długim ſzukaniu W. M. Pana tu potykam.

LEANDER.

Ah! Skapino ciebieli widzę, czyli też mara iaka oczy me łudzi?.. miły gościu, wierny Synowca kochanego ſługo, a Leliuſz...

SKAPINO.

Ah! Mci Panie!

LEANDER.

Rozumiem, coć ſłowa w uściech ucina. Boiſz ſię pewnie, nie pocieſzną nowiną ſerce Stryiowſkie przerazić; ale mow śmiele, przeciąg czaſu nie mały, i dawniey o śmierci Synowca powzięta wiadomość, żal ten nieco w mym ſercu uśmierzyła. Powiedz przynaymniey, gdzie to nieſzczęście potkało, i iakim trefunkiem ſam z onego tak ſzczęśliwie wybrnołeś?

SKAPINO.

Powzięta o Pana mego śmierci nowina zgoła fałſzywa, iako żywo nie zginął, iako W. M. Pan z wieści rozumieſz, ale żyie Pan moi, a Synowiec W. M. Pana.

LEANDER.

Zyie?... mamli temu wierzyć.

SKAPINO.

Tak ieſt, nie inaczey, dziś właśnie do portu tuteyſzego przybiliśmy.

LEANDER.

Zyie, mowiſz Leliuſz? ktoregośmy w nawałności zatopionego opłakiwali. Ah! co za radość, iak nie wymowna pociecha ſerce mi ogarneła, poiąć ſię z radości, z tak pożądaney, i nigdy nie ſpodzianey nowiny nie

mogę. O iako ſię tu Ociec z Syna, a Maryuſz z przytomnego ucieſzy brata ?.. Gdzieſz ſię dopiero on bawi ?

SKAPINO.

Ah! Mci Panie..

LEANDER.

Coż to ieſt? co to ſmutne weſtchnienie znaczy?

SKAPINO.

Znaczy, i wiele znaczy.

LEANDER.

Mowże: co takiego?

SKAPINO.

Ah Mci Panie, żal mowić nie dopuſzcza.

LEANDER.

Zaiętą w ſercu pociechę podeyrzanym milczeniem alteruieſz. Czemu mię tak długo w wątpliwości trzymaſz? mow rzetelnie miły Skapino, czy żyie moy ukochany Synowiec?

SKAPINO.

Zyie w prawdzie, ale coż potym, kiedy ſię tu przed W. M. Panem ſtawić nie może.

LEANDER.

Przedemną ſię ſtawić nie może ? coż mu w tym na przeſzkodzie ?.. nędzy ſię pewnie ſwey wſtydzi? wſzakże ieśli ſię w tak dalekiey podroży odarł, będzie miał u mnie czym ſię okryć, ſukien, pieniędzy, wſzyſtkiego u mnie naydzie, daięć ſłowo. Niech to wſzyſtko przybycia iego do mnie nie opuźnia.

SKAPINO.

Inſza mu cale nędza, acz przytomnej

widzieć się z W. M. Panem nie dopuszcza.

LEANDER.

Mowże, coż takiego?

SKAPINO.

Dość tych obrzeskow, czas iuż aż nadto rzeczy iawnie odkryć: Mci Panie Synowiec W. M. Pana Leliusz w ścisłym więzieniu, w tym mieście ięczy, pomocy i miłosierdzia przezemnie od W. M. Pana żebrze.

LEANDER.

Przebog, co mowisz? Leliusz w więzieniu? coż go za występek do więzienia wtrącił?

SKAPINO.

Nie występek, ale złość ludzka w to nieszczęście niewinnego wprawiła.

LEANDER.

Czyia przecie?

SKAPINO.

Rzecz trudna do wierzenia, pewna iednak; rodzony Brat iego Pan Maryusz tey zelżywości iest autorem.

LEANDER.

Co zaś? Maryusz? w czymże mu przewinił?

SKAPINO.

W tym chyba, że z nim się niespodzianie spotkawszy mile, iako brata, przywitał. zmieszany, niewiem, czemu tym spotkaniem Maryusz poznawać Brata nie chciał, na przywitanie zaś zelżymym łaianiem odpowiedział, tey niezwykłey wexy przyczyny, po wielokrotnym pytaniu, Pan moy dopytać się

nie mogąc, do domu W. M. Pana pośpieſzyć chciał, ale on mu drogę z dobytą bronią zaſtąpiwſzy, albo z Miaſta uſtąpić, albo ſię na śmierć pewną odważyć kazał, przybyli na ten hałas żołnierze, przed ktoremi Maryuſz chytrze ſię wyłgawſzy, Pana mego pod ſtraż ich oddał... Ale nie wczas z przydłużſzą ſię relacyą rozciągam, każdy moment przewłoki biednemu Panu wiekiem ſię zdawać muſi? Mci Panie, rzecz odwłoki nie cierpi, czas W. Panu pomyślić o iak nayprętſzym Synowca ſwego uwolnieniu. Arlekin zaś, ktory był przytomny całey tey tranſakcyi, obſzernieyſzą W. M. Panu uczyni wiadomość.

LEANDER,

Zkądże mu ta złość przeciw niewinnemu Bratu?

SKAPINO.

Ja tego nie zgadnę, i Pan moy nie wie.. ale Mci Panie nie baw mię W. M. Pan, a czym prędzey znaiomego dla wyzwolenia Liliuſza od ſiebie do Komędy wyſzli.

LEANDER.

Sbrygani, bież prętko do Komendanta, a imieniem moim o uwolnienie Leliuſza upraſzay. Jeśliby trudność iaką dla włożoney na iego potwarzy w tym czynił powiedz, iż ia go na ſwoię porękę biorę. Idź czym prędzey, nie baw ſię. *Sbrygani* Idę (*odchodzi wraz z Skapiną*)

SCENA VI.

LEANDER. ARLEKIN.

LEANDER.

Proſzę, co za niecnota, Pan Maryuſz... poiąć nie mogę, co go do tey przeciw Bratu nieludzkości przywiodło... Czy nie omylna tylo z przybyciem iego nadzieia w otrzymaniu odemnie zapiſow, tę mu deſperacką myśl podała ?.. bo coż go inſzego do tey przeciw Bratu zawziętości pobudzić mogło?.. tak ieſt .. to cała niegodziwey zdrady przyczyna być muſi.

ARLEKIN.

Coż to ſam z ſobą rozmawiaſz ? porzuć tego partacza, a zemną ſię zabaw.

LEANDER.

Arlekinie, znaſz ty Synowca mego?

ARLEKIN.

Coż to za ieden ? nie znam nikogo.

LEANDER.

Jak to nie znaſz? wſzakże zdami ſię Skapino powiedział, żeś był przytomnym, gdy go do więzienia żołnierze porwali.

ARLEKIN.

Ha, ha,. czy nie o moim Kapitanie mowiſz?

LEANDER

Ja nie wiem, i dopytać ſię od ciebie po tyle razy nie mogłem, kto ieſt, i iak ſię nazywa twoy Kapitan.

ARLEKIN.

Kto? ieſt Kapitan, iużem mowił.

LEANDER.

Coż, że Kapitan, ale iaki? czy okrętu?

ARLEKIN.

Nie okrętu, ale moi, on mię tu z Ameryki dziś z ſobą przywiozł.

LEANDER.

Jak ſię nazywa?

ARLEKIN.

Jam go zawſze zwał Kapitanem, ale Skapino ſługa iego nazywa go Mci Panie, a czaſem Le, le, liuſzu.

LEANDER.

Toś ty ſługa Synowca mego?

ARLEKIN.

Nie prawda, Ja ſam ſobie ſługa, ſam Pan, nikomu nie ſłużę.

LEANDER.

Mnieyſza o to, pytam ſię tylo, czyś z tym Leliuſzem, ktoremu Skapino ſłuży, do tych Kraiow przybył.

ARLEKIN.

Jakże nie, on mnie tu z ſobą przywiozł; czy onże twoy Synowiec?

LEANDER.

Jam ieſt Stryi iego, ten zaś ktoregoś tu nie dawno widział, Ociec iego.

ARLEKIN.

Ten, ten, noſaty dziaduś? Oycem ieſt Kapitana mego?

LEANDER.

Tak to ieſt; gdzieżeś go odſzedł?

ARLEKIN.

Jam go nie odſzedł, ale on od żołnierzow, iako wy nazywacie, porwany odemnie odſzedł.

LEANDER.

Za coż go porwali?

ARLEKIN.

Dwoch za ręce, a trzeci co raz powtarzał, idź niecnoto, idź.

LEANDER,

Nie oto ſię pytam, chcę wiedzić, z iakiey przyczyny, ci go żołnierze porwali?

ARLEKIN.

Oto tak; Kapitan zemną rozmawiaiąc poſtrzegł człowieka iakiegoś.

LEANDER.

Wiem: opiſz że mi tego człowieka.

ARLEKIN.

Coż kiedy ia piſać nie umiem, ale Kapitan moy umie.

LEANDER.

Nie rozumieſz, co mowię, pytam ſię: iaki był ten człowiek?

ARLEKIN.

Jak? taki, iako i drudzy,. ależ zły, ſwarliwy.

LEANDER.

Wyſoki, czy niſki?

ARLEKIN.

Nie, ſrzedni.

LEANDER.

W iakiey ſukni?

ARLEKIN.

W krotkiey.

LEANDER.

Kolor iaki?

ARLEKIN.

NB. *Powie, iaki kolor będzie.*

LEANDER.

Już to nie kto, tylko Pan Maryuſz. Coż, iak ſię ſpotkali?

ARLEKIN.

Kapitan chciał go obłapić, a on iego, i mnie chciał żelazem przekłoć.

LEANDER.

Za coż?

ARLEKIN.

Mnie za to, żem Kapinana bronił, a Kapitana za ſukceſſyą iakąś, ktorą mu Stryi obiecał.

LEANDER.

Jużem w domu dopiero. Co za zdrayca! dla ſukceſſyi, dla kawałka fortuny, tak niegodziwie, z rodzonym Bratem poſtąpił,. o hultay! o.... Ale oto właśnie z Oycem idzie, uſtąp ztąd Arlekinie, na czas, ieſt tego przyczyna.

ARLEKIN.

Jaka?

LEANDER.

Uſtąp tylo, potym obaczyſz.

SCENA VII.

PANTALON. MARYUSZ. LEADER. ARLEKIN.

PANTALON.

Rozumiem naymilſzy Braciſzeńku, że niepotrzebna perſwazya, ktora dotąd do zakończenia intereſſu naſzego na przeſzkodzie była, przeciągiem czaſu oddalona, powolnieyſzym cię na prożbę moię uczyni. Coż na to miły Leandrze?

LEANDER.

To, co i przedtym, płonnym wieściom nie wierzę, pewnieyſzey wiadomości czekam.

PANTALON.

Możeſz być pewnieyſza nad tę, ktorą mamy wiadomość? na coż nam inſzey czekać?

LEANDER.

Na coż ſię w tey rzeczy, ktora zwłokę cierpi, niepotrzebnie kwapić?

MARYUSZ.

Dwa razy daie, kto prędzey daruie Mci Stryiaſzeńku.

LEANDER.

Dwa razy bredzi, kto bez potrzebnie i bez względu z darem ſię kwapi, Mci Maryuſzu.

PANTALON.

Wzgląd tylko na pierwſzą Leliuſzowi uczynioną obietnicę mieć by należało, ktoby gdy z śmiercią iego uſtaie, nie miałbyś

się czego miły Bracie na prozby nasze ociągać.

LEANDER.

Coż, ieśli Lel usz żyie? serce moie całe mi o zyciu iego dobrze tuszyć każe. Widzenia przez sen nie raz powtorzone niby przytomnego przed oczy stawią. Ztąd nadziei nie tracę, że Oycowi syna, Bratu Brata, mnie synowca kiedyżkolwiek, może i w krotce uciśnąć przyidzie.

MARYUSZ.

Boday byś to w szczęśliwą wyrzekł godzinę Mci Stryiu! ah! ktoby mi dał, żebym kochanego Braciszka kiedyżkolwiek uciśnąć i ucałować mogł. to pewnie na wspomnienie nędzy iego, gdyby tego potrzeba było, i własney nie żałowałbym cząstki,. ale to płonne nadzieie, sen mara, i pochlebne affektu uroienia, dla ktorych nie chciey, proszę, podroż fatygi, i usilne prożby nasze daremne czynić. *Leander (na stronie)* co za bez wstydny obłudnik... i także mowisz Maryuszu? Może ta żądza twoia wkrotce w skutku się uiści?

ARLEKIN.

On, on zapewne; (*bieży z dobytą swą szpadką do Maryusza*) Tuś mi, hultaiu! zaboyco Kapitana moiego!

MARYUSZ.

Ah!.. tuś mi bez wstydny z Kapitanem twoim napastniku!

LEANDER.

Stoy Arlekinie!

ARLEKIN.

Podź tu, a wraz, cię rozpłatam.

PANTALON.

Stoy Maryuſzu.

MARYUSZ.

Puść Oycze, a wraz tego złodzieia pogmachtam. (*nadchodzi Leliuſz, Maryuſz, rzuca ſzpadę dobytą*) ah zginołem!

S C E N A Oſtatnia.

PANTALON. LEANDER. MARYUSZ. LELIUSZ. ARLEKIN. SKAPINO. SBRYGANI.

PANTALON.

Ah! co ia widzę, ſyn moy, Leliuſz!...

ARLEKIN.

Ah! Kapitanie, ieſzcze niewiſiſz?. wczas przyſzedłeś, ubiiem tego hultaia!

PANTALON *do Leandra.*

Ah! bracie co znaczy ta żołnierzy aſyſtencya?... ah ſynu, przebog, coć tak czoło zaſępiło?... Maryuſzu, czegoś ſię zdumiał? Leliuſzu, coż to ieſt w kaydanach?

LELIUSZ.

Tak to ieſt, Syn od Oyca odiachałem, teraz po długim niewidaniu muſzę ſię z Oycem witać iak łotr, i niewolnik.

PANTALON.

Co to ieſt?... rzeczy nie poymuię, Leandrze?...

LEANDER.

Maryuſzu, otoż żądze twoie uiſzczone, maſz Brata, czemu go nie uciśnieſz, nie ucałuieſz? coć to w zadumienie wprawiło?

MARYUSZ.

Ah! mnie!

LEANDER.

Niecnoto! okrutny Brata niewinnego zdrayco! iakoś nie pohamowaną kawałka fortuny żądzą zaślepiony, wrodzoną ku bratu miłość w nieludzkim ſercu zatłumił, iakoś wſzelkie przyrodzenia prawo podeptawſzy tak długą podrożą, tylo przypadkami znędznionemu Bratu oſtatniey przymnożyć odważyłeś ſię nędzy? milczyſz?.... podnieś oczy, a ſporzyi na ſprawkę twoię; czego ſię wſtydziſz? czego truchleieſz? gdzie ow wſpaniały umyſł, owa gdzie na ſpotkaniu Brata odwaga?... ah! niecnoto! okrutny' braterſkiey krwie żarłoku!

MARYUSZ.

Ah! mnie! iuż zginołem!

PANTALON.

Coż to wſzyſtko znaczy? ſen li oczy mami? poiąć ſię z podziwienia nie mogę. Leandrze, powiedz co mam o tym wſzyſtkim rozumieć?

LEANDER.

Słuchay bracie, a ieśli w ſercu twoim iakąkolwiek Oycowſkiey ku ſynowi miłości iſkierka ſię nayduie, zemściy ſię tak okrutney ſynowi od właſnegoż Brata zadaney

krzy-

krzywdy... Ten niecnota, ktoregoś dopiero z osobliwszą ku bratu chęcią obłudnie oświadczaiącego się słyszał, tę, w ktorąś uwierzył, i we mnie wmowić pragnął o zatopieniu się Leliusza zdradliwie rozsiawszy pogłoskę, przybyłego dziś tu do tego miasta, dla wykonania zdradliwych swych zamysłow, temi kaydanami skrępował, i w ściste w trącił więzienie. Ah! sroga nieludzkości! zemści się proszę, tak cięszkiey niewinnego krzywdy, niechay ten zdrayca zasłużoną swey zdrady odniesie nadgrodę.

PANTALON.

Ah! co ia słyszę!. Maryuszu, mam li ia temu wierzyć? wszakże go samo milczenie potępia, ah! niecnoto! srogi własnegoż Oyca w niewinnym bracie zaboyco! dobiiasz mię tak okrutnym, tak nie ludzkim postępkiem twoim. Ah! hultaiu! ktorąż należytą twey niecnocie wymyślę karę?... oto z własney cię wydziedziczę części!.. ale to mało. na wieczne skażę cię więzienie, i to mała. zemsta! ah! synie! nie synie, ale...

MARYUSZ.

Ah! Oycze!

PANTALON.

Precz mi z oczu niecnoto! nie znam cię za syna.

MARYUSZ.

Ah! Stryiu!

LEANDER.

Niegodnyś Synowca słodkiego nazwiska, ...tny łotrze!

MARYUSZ.

Ah! Bracie!

LELIUSZ.

Bratem mię dopiero nazywaſz? ktoregoś niedawno nie znal za takiego?

ARLEKIN.

Patrz, patrz, iak on teraz dobry, i pokorny; oi nic z tego, Kapitanie odday mu za ſwoie!

MARYUSZ.

Znam, żem poſtąpił niegodziwie, wybacz, wybacz Braciſzeńku.

PANTALON.

Poſtąpiłeś niegodziwie, i muſiſz być ukaranym ſprawiedliwie... Miły Leliuſzu, ſtrapiony tym nieſłychanym nieſzczęściem ſynu, ciebie ſamego Sędzią w tey ſprawie obieram, przemyśl, proſzę, ſłuſzną twey krzywdy zemſtę, poſtanow karę ſprawiedliwą na tę niecnotę.

LELIUSZ.

Oycze, ieśli mię Sędzią tu czyniſz, zemſzczę ſię mey krzywdy, mam dekret gotowy, ale ten, ktory z chrześciańſkiey pochodzi miłości. Oto daruię Bratu urażę. Nie tylko nie chcę, żeby brat moy tracił część fortuny, ktora na iego ſpada, ale i właſną mu część, ktorey mogę ſię od Oyca ſpodziewać, uſtępuię; ſam tylko na łaſce Stryia dobrodzieia przeſtaię.

MARYUSZ.

Ah! moy braciſzeńku!

LELIUSZ.

Wiedz o tym Maryuſzu, że więkſza we mnie miłość braterſka, niż gniew ſprawieliwy. Wiedz, że nie pragnę pomſty.

LEANDER.

Wielki to twoy umyſł Leliuſzu, miłość chrześciańſka, i braterſka godna pochwały, i naśladowania. Ależ darmo, godzien, i wyſtępek kary.

PONTALON.

Nic ztego, na na ſucho to puiść nie może,

ARLEKIN.

O, trzeba, żeby i on tyle poſiedział w więzieniu, wiele moy był tam Kapitan, proſzę was, i za takie łakomſtwo, podeyście, niechay nic nie ma.

PANTALON.

Podźmy do Pokoiu.

ARLEKIN.

Jako widzę policya tuteyſza i edukacya nic nie może bez rozumu, i muſi ſię zawſze pıawidłem onego rządzić. Dobre ſą uſtawy, i przepiſy, ktoremi ſię ten narod miarkuie, tylko ludzie przewrotni czaſem tego na złe zażywaią, ależ i to dobrzc, że onych za takie poſtępki karzą.

KONIEC.